№ 32.

VIII

W. Postat

300и

Rb. 1.20

Golowsk…

STEFAN PORAJ SUCH…



WSCHODNIEM WYBRZEŻEM

Afryki

WRAŻENIA Z PODRÓŻY

Z ILUSTRACYAMI



WARSZAWA

1901

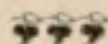
12

WSCHODNIEM WYBRZEŻEM AFRYKI.

STEFAN PORAJ SUCHECKI.



WSCHODNIEM WYBRZEŻEM AFRYKI

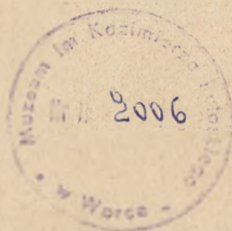


WRAŻENIA
Z PODRÓŻY.



WARSZAWA
DRUK. P. LASKAUERA I W. BABICKIEGO
1901.

Дозволено Цензурою,
Варшава 7 Ноября 1900 г.





Do przylądka Dobrej Nadziei lub do Port Natalu, zachodniem wybrzeżem Afryki dojechać można z Londynu w niespełna trzy tygodnie; co się jednak, obrawszy tę drogę, zyskuje na czasie, to traci się na rozmaitości, przystanek bowiem jeden lub dwa co najwyżej, a zawsze w tym samym mniej więcej punkcie: na Maderze, Teneryfie lub Wielkiej Kanaryi, podróż zaś na angielskim statku „Union" lub „Castle line" o ile dogodna i bezpieczna, o tyle szablonowa okropnie i mało interesująca. To też gdy po kilkuletnim pobyciu w południowej Afryce, we wrześniu 1898 roku wypadło mi jechać z powrotem do kraju, postanowiłem puścić się oceanem Indyjskim. Zachęcały mnie do tej drogi liczne przystanki na wybrzeżach, możność podróżowania

statkiem francuskim lub niemieckim, a nadto dogodność komunikacyi z Odessą ku której zmierzałem.

Przemieszkawszy dłuższy czas w Kaplandzie, rzeczypospolitej Transwalskiej, a wreszcie w Natalu, miałbym ochotę o tych stronach lądu afrykańskiego obszerniej się rozpisać, wszakże odłożyć to muszę do sposobniejszej chwili, teraz rzucając trochę tylko ulotnych wrażeń z powrotnej drogi.

Przed wyjazdem wypadło mi pożegnać kilka znajomych domów na wsi i w tym celu na parę dni przed odejściem statku, wybrałem się z miejsca stałego mego pobytu Durbanu czyli Port Natalu, w okolice miasteczka Verulam, odległego o parę godzin drogi koleją.

Do stacyi kolejowej z przedmieścia Berea, olbrzymim amfiteatrem rozrzuconego na pagórkach i otaczającego właściwe miasto, droga dość daleka. Ponieważ jednak cała ludność Port Natalu na przedmieściu owem posiada prywatne swoje rezydencye, w mieście samem tylko czas pracy oddany spędzając, więc też odpowiednio do tych warunków ułatwione są komunikacye, a koleje i liczne linje tramwajowe rozgałęziają się we wszystkich kierunkach. Jazda konna jest także wielce w użyciu, i codziennie w godzinach rannych widzieć można całe kawalkaty urzędników, przemysłowców i kupców, dążących do swego zajęcia; nawet dzieci do szkoły jeżdżą wierzchem. Ale najbardziej rozpowszechnioną jest jazda t. zw. «inrikshaw» Ekwipażyk ten przywieziony z Japonii, zaaklimatyzował się tutaj doskonale,

a Zulus natalski stanowi znakomitą siłę pociągową, nie ustępując w tym względzie swojemu kosookiemu prototypowi. Silnie zbudowany, o lśniącej czekoladowej skórze, dzielnych muskułach, zdaje się tę ciężką, bądź co bądź, pracę, traktować po amatorsku; zachęca przechodniów pociesznymi skokami, naśladując parskanie i rżenie końskie i potrząsając buńczucznie głową w pęki



Natal. Wśród busch'u.

piór lub parę rogów antylopich zdobną. Ekwipaż sam w kształcie leciutkiego, miniaturowego powoziku, na gumowych kołach, mknie szybko i równo bez hałasu — słychać tylko odgłos grzechotek, któremi pociągowy Zulus nogi sobie obwiesza.

Droga do miasta wije się mnogimi zakrętami, ciągle z góry, co podwaja ochotę szybkono-

giego «boy'a»[1]), pędzi więc na złamanie karku, aż mu ziemia dudni pod stopami. Przemykają się ogrody i śliczne wille — istne pieścidełka, każda jakby w gniazdku puchowem, w kwieciu tonąca, kwieciem ubrana i uweselona, pod cieniem rozłożystych mimoz, pandanów i figowców. Dobry smak i zamiłowanie do ogniska domowego, owego «home,» tak drogiego Anglikom, skombinowane z tem, czego przyroda sama dostarcza, uczyniły z Berei miejscowość wykwintną i uroczą, która może iść o lepsze z najpiękniejszemi miastami południowej Francyi, jak: Nicea, Cannes lub Mentona. Aż dziwnie pomyśleć sobie, że nie dalej, jak czterdzieści lat temu, całe te wzgórza pokryte nieprzebytym gąszczem, były siedzibą dzikich zwierząt tylko, że stada słoni dziś żyjący koloniści jeszcze tu pamiętają! Gąszcz zresztą nie został wytrzebiony, place tylko pod domy i ogródki otwarte; w ten sposób otoczenie każdej rezydencyi zachowało pierwotny charakter, który stanowi oryginalny i wdzięczny kontrast z wykwintnem dziełem rąk ludzkich. Cała natura zdaje się tu godzić doskonale z najściem człowieka. Niezliczone roje świetnie ubarwionego ptactwa: kolibrów, zimorodków i maleńkich miniaturowych turkawek, świergocą i gruchają w gęstym cieniu drzew; gromady małp co rano uwijają się wśród ljan; nawet drobne antylopki «duiker» lub «bluebuck,» bez obawy zbliżają się do siedzib ludzkich. A motyle natalskie ubrane

[1]) Boy, po ang. chłopiec. Nazwa dawana ogólnie służbie murzyńskiej.

we wszystkie kolory tęczy, jakby kwiaty żywe bujają w powietrzu, migocą w promieniach słonecznych i dodają jedną więcej nutę do tej cudnej harmonii barw, światła i tonów.

Otóż i West-Street, główna ulica Durbanu, szeroka, zabudowana schludnemi dwupiętrowemi kamienicami. Zdobi ją w jednym końcu kościół i misya katolicka—w drugim tuż obok stacyi kolejowej Town-Hall czyli ratusz. I tutaj wszystko przedstawia się cywilizowanie. Piękne magazyny szczelnie zwartym rzędem ciągną się pod żelaznemi arkadami. Co parę kroków biura, przeróżne agentury i banki. Tylko snująca się środkiem ulicy ludność czarna (po trotuarach właściwie chodzić jej nie wolno) i setki bystro mknących «rikshaw,» jakiś bardziej lokalny i egzotyczny charakter ruchowi nadają.

Dzisiaj przy sobocie ruch ten niezwykle ożywiony. Zwyczajem kolonjalnym składy i biura zamykają się w południe. Teraz magazyny roją się od publiczności. Każdy spieszy załatwić sprawunki tygodniowe i rad zbiera się do domu, mając w perspektywie półtora dnia wypoczynku.

Przybywszy wcześnie na stacyę, zastałem pociąg jeszcze pusty, złożyłem więc skromny bagaż w przedziale pierwszej klasy, a sam wyszedłem na miasto, mając kilka interesów do załatwienia.

Powróciłem na kwadrans może przed ostatnim dzwonkiem. Tłok we wszystkich wagonach nie do opisania — przedziały tak napchane, że i szpilki nie wsadzić: ten do siedziby podmiejskiej na niedzielę spieszy, ów na wycieczkę dalszą się wybiera z całą rodziną i rozmaitymi za-

pasami. Typy najrozmaitsze, od poprawnego zawsze i sztywnego «gentleman'a» miejskiego, bardziej już swobodnego w układzie i stroju farmera — do ogorzałego plantatora kreolskiego z wyspy Maurice, lub rubasznego, w olbrzymim kapeluszu filcowym, brodatego Boera. Mieszanina typów i mieszanina języków, a w tej ostatniej zepsuta holenderszczyzna Boerów nienajdźwięczniej odbija.

Znajduję nakoniec swój przedział, ale cóż! — drzwi na klucz zamknięte, — story pospuszczane i próżno usiłuję się dostać. Jakiś posługacz kolejowy otwiera mi wreszcie. Zastaję bagaż nietknięty tam, gdzie go złożyłem, ale widzę również całe stosy innych tłumoków, pakietów i koszów, ktore przybyły w czasie mej nieobecności, Widocznie będę miał liczne towarzystwo, co przy 40-stopniowem upale, bynajmniej mi się nie uśmiecha. Dopiero po pierwszym dzwonku zaczynają się schodzić owi towarzysze podróży Kompanja nie lada jaka: najpierw dwóch członków parlamentu, za nimi minister rolnictwa, potem znowu parlament, aż wreszcie sam «premier,» sir B. we własnej osobie nadciąga. Jest ich wszystkich siedmiu, zajmują miejsca, ale czuję, że patrzą trochę na mnie jak na intruza. Z konduktorem znaczącym bilety zjawia się jeszcze ósmy pasażer i zdaje się mocno zdziwionym, że miejsca dla siebie nie znajduje. - Tutaj wdaje się konduktor — ogromny, rudy i jak szczypa suchy Szkot, znany ze swej gburowatości.

— Sir—zwraca się do mnie—ten przedział został zajęty specjalnie, proszę pana wysiąść.



PORT-NATAL.

— Zajęty? bardzo być może; ale ja miejsce swoje także zająłem i to najpierw, w każdym więc razie mam do niego prawo.

— To nieprawda, sir, wolny był kiedy go dla tych panów zajmowałem; drzwi zamknąłem na klucz i musiał pan dostać się chyba przez okno!

Już mnie zaczęła brać złość, ale mówię z flegmą, bo tylko w ten sposób można zaimponować Anglikowi.

— Słuchaj mister, jesteś pan impertynent, Powtarzam, że miejsce zająłem pierwszy i nie myślę w ostatniej chwili szukać innego, po całym pociągu. Pańskie omyłki nic mnie nie obchodzą, daj mi więc spokój i idź sobie do licha.

Szkot zwiesił nos na kwintę i zamruczawszy coś niezrozumiale, usunął się na bok, niepewny co ma czynić. Mocno poturbowany przez jakiegoś mniej cierpliwego pasażera przeleżał niedawno parę tygodni w szpitalu i widocznie wspomnienia te nakłaniały go do refleksyi. Ja zaś nie będąc ani radykałem, ani Szkotem, mając owszem wiele szacunku dla ministrów, choćby tylko kolonialnych, odzywam się do tych panów, którzy z grzecznem zainteresowaniem przysłuchiwali się sprzeczce:

— To com powiedział, było dla konduktora, aby go nauczyć grzeczności, a teraz sądzę że «entre gentlemen» do porozumienia przyjść zawsze można. Psuć panom kompanii nie chcę i chętnie ustąpię, jeżeli tylko znajdzie się jakie możliwe miejsce w innym przedziale.

I wśród ogólnej aprobacyi i podziękowań, począłem zbierać się do wyjścia.

Tego tylko zdawał się czekać mój rudy cerber; słodko uśmiechnięty, jął się tłumaczyć i przepraszać.

— Niech się «sir» nie gniewa, ja panu znajdę doskonałe miejsce, ba! i jakie jeszcze, w przedziale dla pensyonarek! Wprawdzie to nie wolno, ale cóż robić, okoliczność wyjątkowa. A takie ładne panienki jadą! już się «sir» nudzić nie będzie! — uśmiechnął się stary urwis.

Znalazłem się więc wkrótce w innem «coupé» i doznałem gościnnego przyjęcia wśród pół-tuzina jasnowłosych podlotków, dobrze już zaprawionych do flirtu, które jednak na najbliższych stacjach wysypywać się zaczęły, i niezadługo zostałem panem placu w lepszych a zwłaszcza chłodniejszych niż całe ministerjum warunkach.

Tutaj nadmienić wypada, że w południowej Afryce, ktokolwiek szanuje się trochę, jeździ pierwszą klasą. Drugą podróżuje biedny proletaryat i mulaci; trzecią tylko dzicz murzyńska lub robotnicy indyjscy — i ta ostatnia z dzikimi wrzaskami Zulusów, wyziewami obnarzonych ciał, zbitych w jedną masę, coś demonicznego i wstrętnego dla wszystkich zmysłów przedstawia.

Linia kolei do Verulam ciągnie się na przestrzeni 20 mil angielskich, przeważnie wśród plantacyj trzciny cukrowej i kukurydzy. Uprawa pierwszej datuje od kilkunastu lat i prowadzona jest najpomyślniej przez francuzkich Kreolów z wysp Réunion lub Maurice. W ostatnich

czasach, angielska przedsiębiorczość bardzo postąpiła na tej drodze, zawsze jednak posiłkując się odwiecznem doświadczeniem plantatorów kreolskich.



Natal. Sprzęt trzciny cukrowej.

W tym roku urodzaj wspaniały: szarańcza nie pokazywała się wcale i ogromne łany świeżą zielenią zasłały stoki pagórków i rozległą dolinę rzeki Umgeni. Okolica przedstawia się wesoło i cywilizowanie. Nie górzysta, ale mocno falowata; gruntów nieuprawnych mało już tutaj widać. Z okien wagonu co chwila przesuwają się małe

osady Indyan malabarskich. z nieodłącznemi plantacyami bananów, ananasów, po nad któremi bujają pióropusze bambusów, albo strzelają w górę wysokie maszty obwieszone różnobarwnemi chorągiewkami, jakiś znak indyjskiego kultu. Czasem zabieleje wśród trawy pod cieniem rozłożystej mimozy murowany grobowiec indyjski, również jaskrawemi chorągiewkami przyozdobiony.

Roślinność przeważnie podzwrotnikowa, ale nie z tak wybitnym jeszcze charakterem jak dalej ku północy. Większe lasy w znacznej części wytrzebione zostały, wszakże na dużych przestrzeniach rozpościera się jeszcze i zwartą ścianą czerni «busch» nieprzebyte zarośla, złożone z ljan i pomniejszych krzewów, po nad któremi gdzieniegdzie tylko strzelają potężne konary jakiegoś zapomnianego olbrzyma, albo dziwaczne, kandelabrowe kształty euforbii. Gromady ładnych małpek o srebrzystym włosie, oddawna obytych z pociągiem, z najwyższych gałęzi obojętnie rozglądają się wokoło. Tuż obok linii kolejowej ogromne jaszczurki. t. zw. monitory,» leniwie wygrzewają się na słońcu i tylko stada tukanów lub drobniejszego, świetnie ubarwionego ptactwa, zrywają się spłoszone szumem pary.

Nie można o nadmorskich okolicach Natalu powiedzieć, aby odznaczały się jakąś niezwykłą pięknością; majestatem i wspaniałością krajobrazów. Tych szukać trzeba dalej — na wyżynach. Ale natura tutaj świeża, bogata i zdrowa. Tą świeżością, zdrowiem i bogactwem cały kraj, wszyscy jego mieszkańcy oddychać się zdają



Natal

Rzeka

Umgeni.

i te właśnie cechy największy urok Natalu stanowią.

Otóż i Verulam, miasteczko, jakby powiedzieć, powiatowe, schludnie i malowniczo położone nad rzeczką Umhloti. Na stacyi czeka już na mnie z wierzchowcem Goinda, wysoki i piękny Malabarczyk z fermy państwa H. Bierze w posiadanie mój bagaż, a ja dosiadam konia i wyruszam w dość daleką drogę, którą wszakże znajomość miejsca znacznie skracać mi pozwala. Goinda, umieściwszy kufer na głowie, kłusem podąża za mną. Śmiech mnie bierze, gdy patrzę na nogi jego cienkie jak patyki. Koniecznie mi się zdaje, że pod dźwiganym ciężarem załamać się muszą.

Po drodze znowu trzcina cukrowa, kukurydza, sorgo, maniok, lub grzędy ziemnych orzechów. Gdzieniegdzie świetną zielonością odznacza się zagonek ryżu, obficie wodą zroszony.

Znowu banany, ananasy i też same, ledwie nad ziemię wystające, z oczeretu sklecone, płaskie chaty indyan malabarskich, wśród których snują się nagie zupełnie dzieci i kształtne, w malowniczych strojach kobiety. «Salam Sahib! woła cały chór cienkich głosików. «Salam» odpowiadam. Mężczyzni wszyscy w polu przy robocie, bo sprzęt trzciny właśnie się rozpoczął. Z rzadka, na drodze trafia się krajowiec. Do zwykłego stroju, krótkiej spódniczki z pociętej w pasy skóry antylopiej lub lamparciej, dodał jeszcze nieokreślonego koloru stary mundur angielski. Idzie bowiem do miasta, a tam policya ma pewne wymagania i przepisy surowe co do

toalety. Murzyn wita na swój sposób: rękę z wyciągniętym wskazującym palcem poważnie w górę podnosi, jakgdyby niebo wzywał na świadectwo i mówi pełnym dźwięcznym głosem: «Saku bona, Inkozi!» co dosłownie znaczy: ujrzałem cię o władzco! Lubię Zulusów, boć krajowcy tutejsi to Zulusi, owa dzielna, wojownicza rasa, która na początku tego wieku szeroko zabory swoje w tych stronach Afryki rozpostarła. Imiona wielkich i groźnych wodzów, znakomitych organizatorów wojskowych, jak Chaka, Dingaan a wreszcie Cetewayo, krwawo zapisały się w dziejach tutejszych, a boje zuluskiego narodu, wysoko wzbijając się ponad poziom zwykłych utarczek plemiennych, przedstawiają w ciągu tego stulecia pełną grozy i siły epopeję.

Widziałem w tym roku na wiosnę, syna Cetewaya—Dinizulu. Powracał właśnie z długiego wygnania na wyspie Św. Heleny, dokąd po nieudanej próbie buntu zesłali go Anglicy. Ubrany w angielski negliżowy kostyum i słomkowy kapelusz wyglądał niepocześnie, śmiesznie nawet. Ale biła mu z oczów radość i pełnemi piersiami zdawał się wdychać wygnaniec powietrze rodzinnych wybrzeży. Wyruszył wkrótce pod eskortą wojskową do Zululandu, gdzie nań oczekiwała specyalnie przez rząd angielski, w europejskim stylu zbudowana rezydencya.

Koloniści natalscy nie wiele mają pociechy z krajowców, którzy na stałych robotników godzą się bardzo niechętnie i tylko w ostateczności. Suto przez rząd kolonialny uposażeni ziemią i osiedleni na wyznaczonych sobie lokacyach,

z uprawy roli i z hodowli bydła aż nadto mają na zaspokojenie potrzeb życia. W służbę Zulus najmuje się wyjątkowo i nigdy na długo, a już to do rolnictwa najmniej ma ochoty. W rodzinnym bowiem kraalu cały ciężar pracy składa na kobiety—żony lub córki, sam trawiąc czas na paleniu, opijaniu się okropnem piwem, czy raczej kwasem, z sorgo wyrabianym, a zwłaszcza na



pogawędkach i językowych szermierkach z sąsiadami. Jeżeli wreszcie do służby się zgodzi, nigdy na robotnika takiego liczyć nie można, bo pierwszego lepszego poranku, gdy mu fantazya przyjdzie, lub za kraalem ogarnie tęsknota, nie opowiadając się, rzuca swych chlebodawców i nawet o zaległą płacę się nie upomni.

Wyjątek zachodzi tu wszakże w jednej okoliczności, mianowicie gdy Zulus nową żonę

przysporzyć sobie zapragnie. Za tę trzeba rodzicom ofiarować 6 do 50 sztuk bydła, stosownie do wdzięków lub socyalnego stanowiska oblubienicy. Żon takich ma już dwie lub trzy — a jeżeli we własnym kraalu nie znajdzie środków do opłacenia nowego nabytku, wyrusza na zarobek, ale i w takim razie w rodzinnym kraju zwykle go nie szuka, lecz wędruje do kopalni złota w Transvaalu lub dyamentów — w Kimberley. Płacę dostaje tam znacznie wyższą i prędzej może pożądanego celu dopiąć. Po roku lub dwóch ciężkiej pracy, wraca do domu i zażywa wywczasu, dokąd Eros znowu spokoju mu niezakłóci.

Przy takim stanie rzeczy rolnicy natalscy w wielkimby się znaleźli kłopocie, gdyby nie zabiegliwość rządu, który kwestyą pracy bardzo energicznie się zajął i dostarcza kolonii tysiączne zastępy doskonałego i taniego robotnika, sprowadzając kalkuckich i malabarskich Indyan. Zajmuje się tem specjalna komisya t. zw. «Indian Emigration Board,» która zamówienia kolonistów przyjmuje i aż do chwili przybycia na miejsce przeznaczenia danej partyi Indyan, wszelkie koszta i formalności załatwia. Płaca miesięczna takiego robotnika wynosi 1 funt szterling, czyli 10 rb. miesięcznie, z tej wszakże pracy, w ciągu pięcioletniego trwania kontraktu, umarzają się koszta sprowadzenia. Dodawszy 5 szylingów miesięcznie na prowizyę, ma się za $12^1/_2$ rubla doskonałego, a co najważniejsza osiadłego na miejscu robotnika, który w ciągu długoletniej służby doskonali się coraz bardziej w swej pracy i coraz większe usługi na posiadłości oddaje.

Żywioł to jednak krnąbrny, podstępny i fałszywy i nielada doświadczenia trzeba, aby nim umiejętnie kierować. Tylko doskonała znajomość charakteru indyjskiego, połączona z niesłychaną ale spra-



Zulusi Natalscy.

wiedliwą surowością, pozwala te dzikie tłumy w karności utrzymać. W tych warunkach często się zdarza, że partya indyan, odsłużywszy obowiązkowych 5 lat, powtórną z tym samym właścicielem umowę zawiera.

Właśnie dojeżdżam do jednej z większych cukrowni okolicznych — Muckle-Neuk, która zajmuje przeszło 300 głów malabarskiego robotnika. Osada indyjska nad samą rzeczką Umhloti rozłożona, wygląda jak wielkie zbiorowisko kurników w jeden labirynt zbitych. Wieczór nadchodzi. Ogromne wagony, przez osiem wołów ciągnione, dowożą ostatnie partye trzciny do parowego młyna. Za 24 godziny cały proces wytłaczania, rafinerji i suszenia będzie ukończony i cukier w postaci krystalicznego piasku różnych gatunków i odcieni, zsypany do worków, gotów do odstawy. Cena takiego cukru w najlepszym gatunku, chwieje się zwykle między 15 a 18 szylingami czyli 7½ do 9 rubli za 100 funtów. Na osobnym placu kobiety indyjskie, w jaskrawych i gustownie ułożonych strojach, rozpościerają wytłoczoną już trzcinę, która po wysuszeniu służyć będzie za opał do kotłów parowych.

Ale otóż i spieszyć się trzeba, bo słońce ku zachodowi się skłania, a do celu podróży parę mil angielskich jeszcze zostało, reszta zaś drogi wśród skał i wertepów się ciągnie. Wyjeżdżam na szczyt pagórka, panującego ponad osadą fabryczną. Po drugiej stronie widok rozległy, aż do ujścia rzeczki Umhloti, której dolina wielką podkową się roztacza. W dali czernieje morze i słychać huk bałwanów uderzających o nadbrzeżne skały. Słońce, zachodząc, jaskrawym blaskiem złoci wierzchołki mimóz i euforbij, pojedyńczo na stokach wzgórza rozrzuconych. Po nad wysokim oczeretem wieczorna mgła niebieskawemi smugami rozpościerać się zaczyna. Z zarośli wo-

dnych dochodzi posępne hukanie małego bąka *(botaurus pusillus)* a z pól trzcinowych niezmiernie głośno i krzykliwie odzywają się frankoliny *(f. clamator)*, znakomita zwierzyna, coś między bażantem a kuropatwą. Ciężkim, miarowym lotem przeciągają na nocne leże najrozmaitszych gatunków czaple, jedne maleńkie, jak śnieg białe *(herodias garzetta)*, inne ogromne, wzrostu człowieka sięgające *(Ardea goliath)*, a wreszcie dziwaczny i samotny zawsze młotogłów *(Scopus umbretta* ang. *hammerhead)* spieszy do ogromnego swego, z suchych gałęzi skleconego gniazda.

Jestem prawie na miejscu: mam tylko do przebycia strome wzgórze. Wierzchowiec pewną nogą stąpa po śliskiej ścieżynce, wśród olbrzymich monolitycznych głazów, które, jak menhiry druidyckie, po obu stronach sterczą. Nieopodal na szczycie widać już światła w oknach domu. Ot, dworek prawie jak nasz polski, z gankiem na słupach, tylko zamiast lip dwa okazałe figowce konary swoje nad nim rozpostarły, zamiast bzów i leszczyny, mangosy, banany i pomarańcze wokoło. Ale otóż i gościnny gospodarz na moje spotkanie wychodzi.

«*Eh bien, comment ça va!*» Jakże się panu jechało. Chodź pan, napijemy się «kolonjalnej» zanim obiad podadzą. «*Une larme!*» Pociąg musiał się spóźnić swoim zwyczajem, już od pół godziny pana oczekujemy.» Zsiadam z konia i razem już idziemy ku fermie. Po drodze trzeba wysłuchać wszystkich nowin gospodarskich, no i rozumie się kłopotów: wół ze świeżo zakupionej

partyi uciekł i od tygodnia błąka się po zaroślach, ani sposób go złapać; szarańcza wylęgła się na kilku punktach plantacyi, czemprędzej niszczyć ją trzeba, zanim skrzydeł dostanie; młyn parowy nie może nastarczyć z robotą i trzcina od kilku dni zwieziona schnie, czekając na kolej swoją. Zawsze te kłopoty gospodarskie! ale cóż, skarżyć ostatecznie się nie można: urodzaj świetny, mórg po dwie tonny z połową syropu cukrowego wydaje. Niechby tylko dalej tak szło — „*et nous allons jubiler!*" A wszystko to mówione żywo, poparte wymownym gestem i zaprawione okrasą gallickiego humoru, miły kontrast po angielskiej flegmie stanowi.

Takich właśnie ludzi, jak pan H. do kolonii potrzeba. Codziennie od 4-ej rano na nogach, sam kieruje robotami, w najmniejszy szczegół wglądając, a zawsze energiczny, niezmęczony, pełen werwy i humoru.

W stołowym pokoju zastajemy już całą rodzinę, z drobnych, dorastających i dorosłych złożoną: ogółem 12 głów! Rozmowa za stołem toczy się ogólna, zajmująca, bo mimo odosobnionego życia w zapadłym, wiejskim zakątku Afryki, tradycye dawne się podtrzymują, wszyscy *au courant* spraw francuzkich i żadna kwestya z dziedziny nauk, literatury, lub sztuki obcą nie jest.

Po obiedzie zasiadamy z panem H. na werendzie i zapijamy czarną kawę pod owymi rozłożystymi figowcami. Księżyc właśnie wschodzi; z doliny odzywa się monotonnie indyjski tam-tam i towarzyszące mu równie jednostajne i prze-



Natal. Wojownik zuluski.

ciągłe śpiewy. Ogromne nietoperze o skrzydłach na dwie stopy długich, krążą nad naszemi głowami. Morze wciąż huczy w oddali — coraz silniej, bo to chwila przepływu.

U stóp naszych rozległa dolina, wzdłuż której srebrną wstęgą wije się między oczeretami rzeczka Umhloti. Poza nią majaczeją wzgórza z polami trzciny i odznaczającemi się gdzieniegdzie pasmami czarnego, niewytrzebionego jeszcze «bush'u». W powietrzu pełno aromatów i tych tajemniczych, nieokreślonych dźwięków, które tak charakterystyczną cechę podzwrotnikowych nocy stanowią.

«Piękny kraj,» powiada po chwili milczenia pan H. «Natura bogata, ziemia wdzięczna a i warunki rozwoju pomyślne. Francuz jestem z krwi i kości i nie obcy antagonizmowi i tradycyonalnej niechęci, jaka między naszą i angielską rasą istnieje, a jednak przyznać muszę, że jedni tylko Anglicy kolonizacyę dobrze pojmują.

Po chwili, ciągnął dalej:

— Podczas, gdy my Francuzi w kolonjach naszych zawistnie odsuwamy cudzoziemców od wszystkiego, a własnym pracownikom pedantyzmem naszej administracyi utrudniamy pierwsze, najcięższe kroki, Anglicy odznaczają się właśnie najszerszą liberalnością. Szykan tutaj nikt nie dozna: Anglik, czy cudzoziemiec, o ile pożytecznie pracuje, zawsze pożądanym jest przybyszem. Prawa i przywileje równe dla wszystkich, a napływ cudzoziemców groźnym się nigdy nie wydaje dlatego poprostu, że Anglicy obcej konkurencyi się nie boją, wiedzą bowiem dobrze, iż

w przedsiębiorczości i pracy inni mogą im dorównać, ale nigdy ich prześcignąć. Iluż cudzoziemców, poddaństwa angielskiego nawet nie przyjąwszy, w służbie rządowej tutaj pracuje i pięknych stanowisk się dorabia. Oczywiście


Zulusi natalscy w kraalu.

system taki zastosować się da tylko w kolonjach, a zastosowuje się u nas z widoczną korzyścią. Przy tak rozumnym liberalizmie rządu, kolonia wzrasta nadzwyczaj szybko i kraj, który przed 40 laty był dziką puszczą, dzisiaj na znacznej

przestrzeni może iść o lepsze z najbardziej cywilizowanemi okolicami Europy.

Tak mówił pan H., te same spostrzeżenia i ja w ciągu kilkoletniego pobytu miałem sposobność zrobić, tak samo wszyscy cudzoziemcy w Natalu osiedleni się odzywają. Pomimo sekciarskiego nastroju ducha w społeczeństwie angielskiem, wyznania wszystkie cieszą się również zupełną tolerancyą, a dobro zdziałane przez te lub owe wpływy, zawsze uznanie należne zyska.

Miałem kiedyś dłuższą w tym przedmiocie rozmowę ze staruszkiem biskupem natalskim. M-grem Jolivet.

— Osiemnaście lat już tu jestem—powiadał czcigodny misyonarz,—i nic prócz słów wdzięczności i uznania dla rządu angielskiego znaleźć nie mogę. Misye nasze i szkoły rozwijają się pomyślnie, a na rozwój ten patrzą Anglicy bez zawiści, owszem wspierają nas i sprzyjają widocznie. Wszak jeden zakon Trapistów posiada tutaj 12 domów, główna zaś posiadłość jego, klasztor i ferma w Maryanhill, zajmująca 7,000 akrów obszaru, podziw wzbudza rezultatami mrówczą pracą zdobytemi. Wszystko tam znaleźć można: i wzorowo prowadzone gospodarstwo wiejskie. i najrozmaitsze zakłady rzemieślnicze, drukarnie. warsztaty introligatorskie, szewckie, krawieckie, których wyroby stanowią niemałą rubrykę w dochodach zgromadzenia, a które, co najważniejsza, kształcą fachowo setki dzieci murzyńskich, te zaś, nawrócone na chrześcijaństwo, z gotowym kawałkiem chleba w ręku opuszczają klasztor. Tak — zakończył wówczas Mgr. Jolivet—

przykro mnie, Francuzowi, wyznać, że tutaj wśród społeczeństwa na wskroś protestanckiego, kościół nasz cieszy się większą swobodą i większego poparcia doznaje niż w katolickiej Francyi.

Z otwartego okna salonu odezwały się dźwięki muzyki. Serenada Gounod'a, pełnym kontraltowym głosem przez panią H. śpiewana, pociągnęła nas do pań, w których towarzystwie zeszła reszta wieczoru, i późną nocą dopiero, odprowadzony przez gospodarza, udałem się na spoczynek.

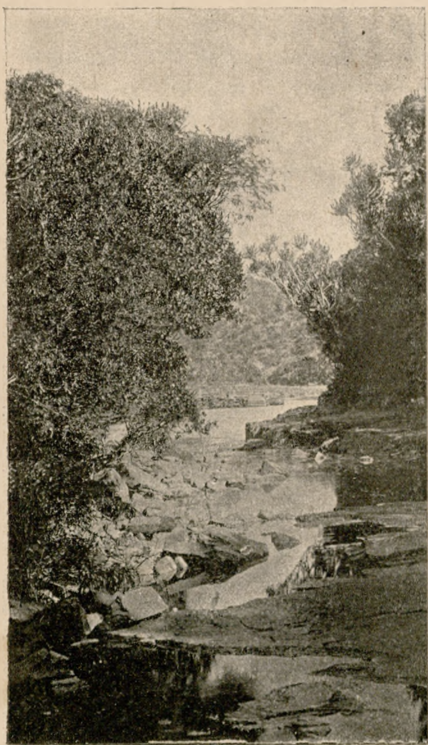
Schludny pokoik w maleńkiej oficynie już nie jeden raz zajmowałem. W rogu stoi statuetka Matki Boskiej z Lourdes; ściany wapnem wybielone zdobią rogi antylop i różne trofea myśliwskie, a pod samym sufitem, szerokim szlakiem ciągną się rozpięte skóry ogromnych wężów. Przypomina mi się pierwsza noc spędzona tutaj z najstarszym synem gospodarza, wkrótce po mym przybyciu do Natalu, i komiczny wypadek, który nam się wtedy zdarzył.

Wieczoru tego, układając się na spoczynek i ciekawie rozglądając po ścianach pokoju, zainteresowany wszystkiem, co jeszcze niezwykłą nowość dla mnie stanowiło, zacząłem młodego H. wyciągać na opowiadania myśliwskie, wypytując go o przyrodę miejscową, o zwierzęta, a zwłaszcza o węże jadowite, których w Natalu mnóstwo.

Słuchać było czego: trofea, rozwieszone wokoło zdobył sam H. na miejscu. Zwierzyny dużo, ale w gąszczu leśnym trudno ją na strzał dostać. Ogromny, 25 stóp długości mierzący boa *(Boa natalensis)*, zabity został w poblizkiej

plantacyi manioku. Wszakże boa tutejszy, choć tak groźny rozmiarami, na ludzi się nie rzuca. Niebezpieczniejszy o wiele czarny lub zielony «Imamba» *(Dendraspis Angusticeps)*, którego ukąszenie w parę godzin sprowadza śmierć; gorszy jeszcze płaski i wstrętny nad wyraz Puff-adder *(Vipera arietans)*, ten leniwie w poprzek ścieżek piaszczystych się rozkłada i niebacznemu przechodniowi niechybną śmiercią grozi. Ot w tym samym pokoiku H., czytając kiedyś wieczorem, posłyszał nagle za sobą lekki szelest i odwróciwszy się ujrzał z przerażeniem długiego czarnego węża z najjadowitszego gatunku, który po poręczy wspinał się na krzesło. Chwila była krytyczna, wszakże nie tracąc przytomności umysłu H. wyrzucił nagłym ruchem krzesło z pod siebie i z wiszącej szczęśliwym trafem w pobliżu strzelby zabił groźnego intruza. Zresztą dnia prawie jednego niema, aby w blizkości domu jakiegoś gadu szkodliwego nie zgładzono, a na wycieczkach myśliwskich wieleż niespodziewanych wypadków i niemiłych spotkań! Na tych i tym podobnych gawędach przesiedzieliśmy jeszcze do późnej nocy, aż wreszcie oczy do snu kleić się zaczęły. Gorąco było mimo nocnej pory niezmiernie, szczęściem wybita szyba w oknie, pod którym łóżko moje stało, dawała trochę przewiewu i chociaż moskity dokuczały nielitościwie, znużony podróżą, myśląc jeszcze o zajmujących opowiadaniach mego towarzysza, wkrótce zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem, gdy zbudził mnie nagle lekki szmer od okna, brzęk szkła



Rzeczka Umhloti w Natalu.

i równocześnie poczułem, że coś miękkiego i elastycznego spadło mi na nogi a raczej na kryjącą je lekką kołdrę. Wyznaję, że ciarki przeszły mnie po skórze, myślę sobie: nic innego

tylko wąż! Ciemno, choć oko wykol, księżyc skrył się za chmurę, i w tej ciemności, niepewny, niezdecydowany co mi czynić wypada — zdaję sobie wszakże doskonale sprawę z tego, że jednej chwili tracić nie można, że coś trzeba przedsięwziąć. Szybkim ruchem zbieram więc kołdrę wraz z owym tajemniczym przedmiotem w jedną paczkę i silnie kopnąwszy nogą, wyrzucam daleko na pokój. Równocześnie zeskoczywszy na ziemię jednym susem przesadzam stojące obok łóżko H., budzę go po drodze mocnym szarpnięciem i zapaliwszy stojącą obok na stoliku świecę, rozespanego i zdziwionego ciągnę w róg pokoju.

— Co takiego, co się stało? — pyta przecierając oczy.

— Ba, żebym to ja wiedział co! Wiem tylko, że jakieś żywe stworzenie spadło mi przez wybite okno na nogi. Wąż, czy nie wąż, w każdym razie nie chciało mi się po ciemku bliższej znajomości zawierać. A nuż jaki gad jadowity! Ot, patrz pan — i wskazałem w ciemnym rogu pokoju na kłęb kołder, pod którym zapamiętale coś się miotało.

— Ależ wąż oczywiście — rzekł H., zobaczymy w każdym razie.

Tuż obok nas pod ścianą leżało kilka długich żerdzi trzciny cukrowej, tylko co przyniesionych z pola — soczystych i ciężkich. Chwyciłem jedną z nich i, podczas gdy H. z lichtarzem w ręku przyświecał operacyi, zacząłem ostrożnie podnosić kołdrę, pod którą nie ustawało gwałtowne, falowate miotanie. Szarpnąłem mocniej

i z pod uchylonych fałdów zakołysało się coś w gibkich czarnych zwojach—ogon czy łeb?

— To czarny «imamba!» — woła H., — bij pan, bij pan co sił przez kołdrę, zanim się na pokój wydostanie!



Olbrzym natalski.

Machnąłem zamaszyście, aż trzcina zaświszczała w powietrzu, rozległ się ciężki raz, i równocześnie o dziwo! przeraźliwe miauczenie. Rozpaczliwym wysiłkiem wydobył się wreszcie na

wierzch wielki czarny kot i oszalały z bólu i strachu zaczął latać po pokoju, szukając drogi do ucieczki, której dostarczyła mu wreszcie owa wybita szyba w oknie.

A my, waleczni szermierze, jeden ze świecą, drugi z groźną maczugą w ręku, staliśmy długą chwilę naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy i nie mogąc słowa przemówić, aż opanował nami i długo trząsł taki niepohamowany śmiech, że tylko urywanymi frazesami wśród niego mogliśmy się odzywać.

— A więc to był ogon! Ano tak, koci ogon tylko. Wątpliwość niemożliwa... Gaśmy co prędzej światło i chodźmy spać, bo jeśli w domu alarm posłyszą, to cało z tej awantury nie wyjdziemy. *Sacré coquin de chat*, żeby nas tak wziąść na kawał!

Co prawda wolałbym już całe gniazdo czarnych i zielonych imambów spotkać, aniżeli mieć taką przygodę, która mocno reputacyę naszej odwagi mogła nadwyrężyć, nie utrzymała się bowiem w tajemnicy — i przy każdej sposobności wyjeżdżała potem na stół.

Ostatnia noc zeszła spokojnie, niezakłócona żadnym wypadkiem. Z wężami miałem czas i sposobność oswoić się w trakcie kilkuletniego pobytu w Natalu i studyów przyrodniczych, którym się z zamiłowaniem oddawałem, a imaginacya i nerwy straciły wrażliwość. Przebudził mnie dopiero o 8-ej z rana energiczny głos gospodarza, gromiącego Indyan, w jakimś niezrozumiałym malabursko-zuluskim żargonie.

* * *

Dwie doby jeszcze przebyłem u gościnnych plantatorów — i w sam dzień dopiero odejścia statku angielskiego, który miał mnie odstawić do portugalskiego portu *Lourenço Marques*, wyje-



Krajobraz natalski.

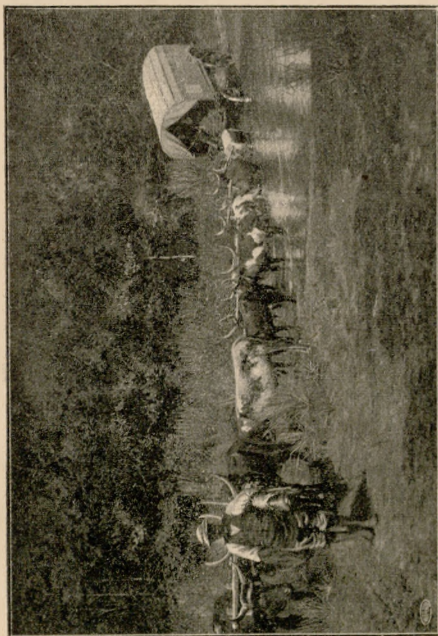
chałem wczesnym ranem z powrotem do Durban. Rzeczy miałem oddawna spakowane i złożone w porcie, przybywszy więc na miejsce, chwilę tylko zatrzymałem się, aby załatwić parę niezbędnych na drogę sprawunków i pożegnać stare-

go przyjaciela — kuratora miejscowego muzeum, z którym wiele miłych chwil na wycieczkach przyrodniczych i studyach spędziłem, i którego niewyczerpanej uprzejmości większą część mego dorobku naukowego w tym kierunku zawdzięczam.

Około południa wreszcie znalazłem się na pokładzie «*Guelpha*», zainstalowany doskonale, z całą kajutą do mego rozporządzenia, pasażerów bowiem jechało bardzo niewielu. Dopiero pod wieczór podnieśliśmy kotwicę i pożegnałem po raz ostatni te piękne i bogate wybrzeża Natalskie, na których dwa lata cichego i nazbyt może pogodnego życia spędziłem. W godzinę czasu byliśmy już na pełnem morzu; ziemia w mroku wieczornym niknęła coraz bardziej, tylko z przylądka Bluff, latarnia morska jakby ostatnie pożegnanie, migocące promienie swoje do późnej nocy nam słała.

Wspominałem już o jednostajności podróży na statkach angielskich; można powiedzieć, że dotyczy ona angielskiego trybu życia wogóle. Anglik bowiem czy na północnym biegunie, czy na Antypodach, czy w głębi Afryki lub wreszcie na pokładzie parowego statku się znajduje, wszędzie żyje jednakowo i dąży do tego, aby wytworzyć sobie atmosferę, otoczenie i komfort taki, do jakiego przywykł we własnym kraju. Gdziekolwiek los lub przedsiębiorczość go zapędzi, wszędzie stworzyć sobie umie ten sam mniej więcej tryb życia, który prowadził w Anglii z tą, samą angielską kuchnią, z temi samemi rozrywkami, sportowemi ćwiczeniami bez których zdaje

się, że przestałby być sobą, że nie pojmuje życia. Świadczy to zapewne o bardzo silnej indywidualności narodu, ale podróżnikowi żadne-



Zaprzęg boerski w Natalu.

mu wrażeń nowych, w miejscowościach, gdzie ma wszelkie prawo ich się spodziewać, sam widok Anglika na nerwy działa i życie w ich towarzystwie staje się nieznośnem.

Chociaż więc nie darzę specyalną sympatyą «naszych najserdeczniejszych,» już sama nadzieja zmiany otoczenia i wyrwania się z tego ogłupiającego szablonu usposobiła mnie przychylnie do niemieckiego parowca «Bundesrath» wschodnio-afrykańskiej Linii, na który w *Lurenço Marques* miałem się przesiąść, by dalszą część podróży aż do Port-Saidu na nim odbyć.

Stanęliśmy na kotwicy w zatoce Delagoa w niespełna półtorej doby, po dość burzliwej przeprawie. Jest to stanowczo najpiękniejsza i najdogodniejsza przystań w całej południowej Afryce. Port oraz miasto Lourenço-Marques, połączone koleją żelazną z transwalskiemi kopalniami złota na Witwatersrandzie i z tak ożywionem i wielkiem centrum, jakiem jest dzisiaj Johannesburg, ma nadzwyczaj doniosłe znaczenie, przedstawiając dla miejscowości tych najbliższą z Oceanem Wschodnim komunikacyę. Znaczenie to, co prawda, w przyszłości jeszcze leży, bo dokąd portugalska administracya panować tu będzie, wszystkie dodatnie strony, jakie przedstawia położenie, dogodność przystani i owa łatwość komunikacyi z wnętrzem kontynentu, niknąć muszą wobec przechodzącej wszelkie pojęcie opieszałości i korrupcyi, panującej w miejscowym świecie urzędniczym. Licho płatny przez swój rząd, leniwy, niedbały, apatyczny—urzędnik portugalski jest *«bête noire»* południowo-afrykańskiego handlu i przemysłu. Domy handlowe i zakłady przemysłowe w Transwalu sowicie opłacać się muszą administracyi portowej i celnej, aby z jakim takim pospiechem towary sprowadzane

z Europy lub Ameryki odbierać. Przecież i te ofiary nawet nie zawsze odnoszą pożądany skutek, a handel cierpi straty milionowe, wprost z powodu niedbalstwa przy ekspedycyi towarów. Widywałem w Lurenço-Marques góry całe, setki skrzyń i pakunków cennego materyału, który od miesięcy leży na otwartem powietrzu wystawiony na deszcz i skwar słoneczny nie mogąc doczekać się odstawy na miejsce przeznaczenia!

Naturalnie, wobec takiego stanu rzeczy znaczna część towarów wysyłaną bywa przez dalej leżące porty, jak: Durban, Port Elizabeth albo nawet Cape-Town, a chociaż droga to znacznie dłuższa, handel i przemysł znajdują w niej korzyść, chroniąc się od strat nieuniknionych.

Mówiłem, że znaczenie Lourenço-Marques leży w przyszłości i sądzę, że przyszłość ta jest bardzo blizką, bo wątpliwości niema, że Anglicy w ten lub inny sposób port ów nabędą. Jest to kwestya pomyślnej jakiejś chwili w międzynarodowych stosunkach i kombinacyaeh politycznych, a zwłaszcza kwestya pieniędzy, bo rząd portugalski jeśli zdobyć się nie umie na bezpośrednie wyzyskanie sytuacyi, zdaje sobie doskonale sprawę z doniosłego znaczenia Delagoa-Bay i potargować się pragnie cokolwiek, zanim ustąpi wielokrotnie już powtarzanym propozycyom Anglików. Tymczasem prywatna inicyatywa angielska zaczyna już rozpościerać tutaj swoje wpływy i grunt przygotowuje rządowi. Największą zasługą w tym kierunku jest uzdrowotnienie miasta, również z angielskiej inicyatywy przedsiewzięte. Dotąd pobyt w Lourenço-Marques

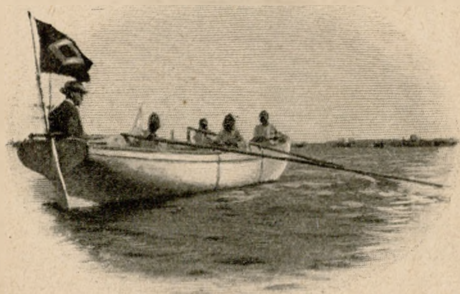
wśród bagien ziejących febrą położonego, był zabójczym dla Europejczyków. Dość powiedzieć, że śmiertelność do 20% dochodziła. Obecnie stan rzeczy poprawił się znacznie i osuszanie energicznym krokiem naprzód postępuje.

W mieście zabawiłem parę godzin zaledwie, mało znalazłszy godnego widzenia. Na każdym kroku bije w oczy kontrast angielskiej przedsiębiorczości i cywilizacyi, z zastojem i apatyą, która główną cechę miejscową stanowi. Parę odwiecznych budowli portugalskich, magazynów, koszar i fortów dziwnie, a powiem i przyjemnie, na tle egzotycznem odbija.

O pół mili drogi od miasta stał już zdawna w przystani mój statek niemiecki, oczekując tylko na resztę pasażerów, mających przybyć koleją z Johannesburga. Zebrawszy więc bagaż, łodzią kierowaną przez czterech czarnych wioślarzy, dostałem się wkrótce na pokład i objąłem w posiadanie przeznaczoną mi kajutę.

«Bundesrath» nie zawiódł mych oczekiwań. Znalazłem tu wprawdzie mniej trochę porządku niż na statkach angielskich, ale więcej swobody, rozmaitości i ożywienia. Oficerowie uprzedzająco grzeczni, chętnie gawędzą i opowiadają; służba doskonała, urządzenia ogólnie biorąc—wygodne Tłok wprawdzie straszny, wszystkie miejsca w kajutach pozajmowane, lecz to mnie bardzo mało obchodzi, bo przyjąłem za zwyczaj, cały czas podróży w strefach gorących spędzać na pokładzie, kajutę za skład rzeczy tylko i toaletowy gabinet uważając. Specyalnie w tym celu nabyte składane krzesło, które w razie po-

trzeby można było na szezlong przekształcić, pozwalało mi nawet spać na otwartem powietrzu, a wspaniałe noce gwiaździste na pokładzie spędzone, z szumem fal morskich, z ożywczem powiewem solą przesyconej atmosfery, miłego po skwarze dziennym dostarczały wypoczynku i dotąd zostały jednem z najmilszych wspomnień odbytej podróży. Czasami, nad ranem chłód bywał



dość silny, ale miałem ze sobą zabezpieczenie bez ceny, w postaci sławuckiej burki. Poczciwa burko sławucka! Śmiano się ze mnie, gdy wyjeżdżając w podzwrotnikowe strefy zabierałem cię ze sobą, a jednak przez siedem lat włóczęgi byłaś mi nieodłączoną i wierną towarzyszką, chroniąc zdrowie i w niejednej przygodzie ratując. Czy to w górach Kabylii, czy na wyżynach płaskowzgórz transwalskich lub w gorącym Na-

talu nawet, gdy noce wśród zuluskich kraalów, lub gąszczu leśnego — w zasadzce na zwierza — spędzać wypadało, wieleż razy tuliłaś mnie i grzałaś w miękkich fałdach swoich, a grzałaś i wspomnieniem kraju rodzinnego.

Wielkiem uprzyjemnieniem w podróży wschodniem wybrzeżem Afryki są częste przystanki. Tych marszruta nasza obiecywała aż jedenaście. Najbliższe porty: Inhambane, Beira, Quelimane i Mozambik leżą na terytoryum portugalskiem, a zaraz nazajutrz wieczorem po opuszczeniu Lourenço-Marques, stanęliśmy na kotwicy o 18 mil morskich od pierwszej z tych miejscowości.

Z powodu licznych mielizn, wjazd do obszernej zatoki, bez pilota czyli przewodnika, którego władze portowe w specyalnej łodzi na spotkanie statków wysyłają, jest absolutnie niemożliwym—tymczasem mimo dawanych przez nas sygnałów, nadchodzi wieczór, noc mija, a w południe na drugi dzień pilota naszego ani widać. Strata czasu dotkliwa, kapitan klnie na czem świat stoi, pasażerowie niecierpliwią się, a zatoka wzburzona bardzo i pewnie z tego powodu pilot w wątłej łódeczce swojej boi się tak daleko puszczać. Na koniec sygnalizujemy wystrzałem z moździerza — raz, drugi i trzeci—co pożądany skutek odnosi bo wreszcie około 4-ej po południu zjawia się czarny, jak sadze, ale suto wyszamerowany dostojnik portowy, pompatycznie wchodzi na pokład po opuszczonej do łodzi drabince i pod jego opieką, późnym wieczorem zawijamy do przystani. Noc tak ciemna, że na

dzisiaj zrezygnować trzeba z wszelkich wrażeń. Prócz szeregu mdłych świateł latarnianych, nic na wybrzeżu nie widać.

Bawić mamy w Inhambane tylko jeden dzień, wstaję więc ze świtem, aby chwili czasu nie tracąc, dostać się na ląd jaknajrychlej. Oczom moim przedstawia się czarujący widok. Zlekka przesłonięte mgłą poranną po wierzchołkach tyl-



Chata indyjska w Natalu.

ko ozłocone pierwszymi promieniami słońca, wdzięcznie strzelają w górę smukłe i wykwintne kształty palm kokosowych. Rzadko rozsiane wzdłuż płaskiego piaszczystego wybrzeża, dalej zbijają się w jedną zwartą ścianę, u stóp i w głębi której rozpostarła się ładna wioska murzyńska, z okrągłych o konicznych szczytach chatek złożona. Pierwszy raz widzę tak wybitnie

typowy i pierwotny podzwrotnikowy krajobraz. Dalej na prawo charakter ten zmienia się. Oto miasteczko portugalskie. Domy schludne, pokryte czerwoną dachówką. Żółte, różowe, niebieskie lub zupełnie białe ściany świetnie odbijają wśród zielonej i bujnej wegetacyi, która je otacza. Ponad tą grupą domów wznoszą się wieżyce parafialnego kościoła, zbudowanego w barokowym stylu, a dalej na skraju miasta jeżą się zębate mury koszar wojskowych. Przybijam do brzegu na wątłej, nakształt strączka grochowego wydłużonej i wązkiej łodzi murzyńskiej.

Przyczepił się do mnie współtowarzysz podróży Włoch, inżynier z Johannesburga i razem zmierzamy do lasu kokosowego, obejrzawszy poprzednio miasteczko. To ostatnie traci na bliższem poznaniu. Ulice i domy czysto wprawdzie i starannie utrzymane na zewnątrz—ale ze środka wieje pustką i zaniedbaniem. Od czasu do czasu pokaże się w oknie rozczochrana głowa kobieca, o twarzy mocno zabarwionej domieszką krwi murzyńskiej; przez otwarte nawpół drzwi nieład i nędza biją w oczy. Na ulicy ruchu żadnego prawie niema, a nędzne sklepy bławatne lub korzenne, przeważnie utrzymywane przez banyanów, czyli indyjskich kupców, świecą pustkami. Na skraju miasteczka wegetacya coraz bujniejsza. Olbrzymie mimozy, tamaryski i baobaby roztaczają swe konary ponad kępami szerokolistnych bananów. Wśród nich moc kwiecia, ptasiego świergotu i różnobarwnych motylów; żałuję, że siatki swojej nie wziąłem, bo widzę kilka odmian nieznanych mi zupełnie, a zwłaszcza

wspaniałe, lazurowe z czerwonemi pasmami okazy z rodzaju *precis.*

Wśród palm kokosowych i wioski murzyńskiej zupełna zmiana dekoracyi. Z pierwotnością otoczenia całego, strojów i obyczajów murzyńskich, zdawałoby się, że to głąb Afryki, kędy nigdy jeszcze stopa białego człowieka nie przeszła. Chaty schludne, podwórka wymiecione czysto. W cieniu bananowych krzewów, na wpół nagie kobiety przygotowują dzienną strawę z kaszy kukurydzowej, do której dodają skrobankę ze świeżych orzechów kokosowych lub na kamiennych żarnach mielą sorgho. Zdejmuję parę migawkowych fotografij — nie bez trudności, bo widok aparatu sprowadza popłoch między czarnymi. Próbuję zawiązać rozmowę, posiłkując się moją słabą znajomością narzecza zuluskiego, ale widzę, że zrozumiany nie jestem: mowa tutejsza nie należy do grupy Bantu, która jednoczy większą część plemion południowej Afryki od kraju Zulusów do przylądka Dobrej Nadziei.

Mój towarzysz Włoch zaczyna marudzić, że nadto mitrężę; i ja mam go dosyć co prawda, nudzi mnie poprostu. Język Danta i Petrarki nie wydaje mi się tutaj niezbędnym do uzupełniania mych wrażeń, towarzysz nie po myśli, przy pierwszej więc sposobności daję nieznacznie nura w zarośla i zostawiam go własnemu przemysłowi.

Plantacya kokosów zajmuje znaczną przestrzeń, a starannie utrzymane drogi, króre w prostych liniach na krzyż ją przecinają i bielejące gdzieniegdzie hacyendy portugalskich właścicieli nadają jej pozór ogromnego, wspaniałe-

go parku. Zapuściwszy się dość daleko w głąb, wychodzę na rozległą podłużną polanę, otoczoną z trzech stron ścianą kokosów, a z czwartej zamkniętą pięknym widokiem na miasteczko Inhambane, w części także przesłonięte kokosami, pośród których wesoło się odznaczają różno-



Inhambane. Chata Murzyńska.

barwne ściany większych domów i wieżyc kościelnych.

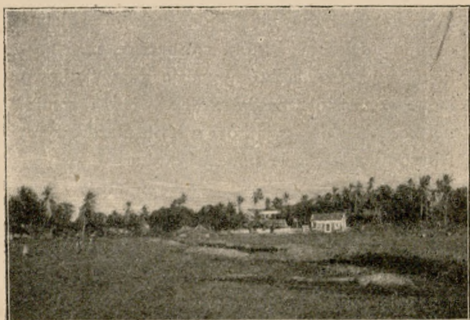
Słońce już wysoko na horyzoncie; skwar okropny, zda się, że ołów roztopiony strugą na głowę się leje i nawet specyalnej konstrukcyi

kask mój biały wrażenia tego nie łagodzi. Przytem pragnienie dokucza nieznośne, a choć wody dokoła poddostatkiem, zdecydować się na jej użycie nie mogę. W tych stronach zbyt ryzykowna to sprawa i jeden łyk niepewnego napoju często nieuleczalną febrę sprowadza. Na szczęście posuwając się dalej, natrafiam na większą grupę domów europejskich i znajduję między nimi coś w rodzaju zajazdu z cienistą werendą. Zasiadam więc na ławeczce i wkrótce z rozkoszą raczę się wodą sodową i jakąś okropną dekokcyą, która na butelce nosi etykietę «Oporto», a którą podaje mi wyjątkowo ładne szesnastoletnie dziewczę, świeże i rumiane, co także do wyjątków w tym niezdrowym, febrycznym klimacie policzyć można.

Wogóle portugalskie typy pięknością się nie odznaczają. Wzrost maleńki, twarze kwadratowe o silnie rozwiniętych szczękach i wystających kościach policzkowych. Paola jednak, z którą dość szczęśliwie po włosku się porozumiewam, więcej mi na Hiszpankę wygląda.

Zabieram się do powrotu, bo od miasta oddaliłem się bardzo, statek może wcześniej odpłynąć, a nawet piękne oczy Paoli nie zdołałyby mnie pocieszyć, gdybym się przypadkiem spóźnił i cały miesiąc na następną okazyę zmuszony był czekać. Stawiam się wszakże w porę i na czas jeszcze, aby w przystani być świadkiem ciekawej ceremonii. Gubernator Inhambane widocznie razem z nami jedzie do Europy i liczny zastęp dygnitarzy miejscowych odprowadza go do portu. Co za pompa i okazałość!

Gubernator sam i wojskowi w paradnych uniformach, cywilni dostojnicy męczą się na skwarze słonecznym w czarnych tużurkach i cylindrach mocno wyszłych z mody. U brzegu czeka łódź z czarnymi, w karmazynowe bluzy strojnymi wioślarzami. Komiczni są Portugalczycy z tem zamiłowaniem do okazałości i błyskotek, z nadętością swoją i próżnością. Typowi wielcy ludzie do małych interesów, są też nieustan-



Inhambane.

nie przedmiotem pośmiewiska dla Anglików, którzy w koloniach ostentacyi wszelkiej unikają, a w strojach, bez względu na okoliczność, stosują się przedewszystkiem do wymagań klimatu.

Odpływamy wieczorem do następnego portu Beira. Ocean gładki i spokojny jak jezioro, kołysania nie czuć najmniejszego. Zresztą pod tym względem cieszę się szczęśliwem usposo-

bieniem: — nie znam co choroba morska i gdy fale się wzburzą, a «Bundesrath», jak pijany na wszystkie strony taczać się pocznie, jestem przedmiotem ogólnej zazdrości wśród reszty pasażerów, którzy straszne męki przechodzą.

Dotąd mało, a raczej nic nie mówiłem o towarzyszach podróży. Co prawda mówić niema bardzo o czem. Najwybitniejszą osobistością (oczywiście do przybycia portugalskiego gubernatora), jest pan sędzia van B. z Johannesburga. W służbie boerskiego rządu, ale Holender z urodzenia, należy do tych licznych przybyszów z Holandyi, którzy opierając się na wspólności pochodzenia i języka, emigrują całymi zastępami do rzeczypospolitej Transwalskiej w pogoni za karyerą. Doskonale płatni, czują się zobowiązani pozować w Transwalu na wielkich patryotów, w gruncie rzeczy jednak nie sympatyzują z nieokrzesanym żywiołem boerskim, a na karyerę swoją polityczną czy administracyjną patrzą poprostu, jako na dobry interes.

Tutaj, między nami, na gruncie neutralnym niby, pan sędzia zmuszony jest siedzieć na dwóch stołkach, wzięty w dwa ognie: angielski i niemiecki. Przed Anglikami, którzy znają doskonale stan rzeczy w Transwalu, nadużycia administracyi, korupcyę, jaka panuje we wszystkich sferach rządowych, trudno mu ryzykować wielkiego entuzyazmu dla przybranej ojczyzny. Wogóle niechętnie mówi o sprawach domowych — unika politycznych dyskusyi, ale czasami zmusza go do tego antagonizm i szowinizm

niemieckich pasażerów, którzy radzi z napaściami na angielską chciwość i zaborczą politykę występują. Najbardziej komplikuje sytuacyę obecność kilku rodowitych Boerów transwalskich. Oprócz zepsutego holenderskiego, innym językiem nie władają, ale z niemieckiej lub angielskiej rozmowy pochwycić coś mogą — podejrzliwie i z widocznem zainteresowaniem śledzą więc wywodów pana van B., który poci się wykręca, nie wiedząc do kogo ma się uśmiechać, a na kogo krzywić.

Gubernator portugalski mało wychodzi z tego «*dolce far niente*», jakie prawdopodobnie na wielką skalę uprawiał w koloniach. Od czasu do czasu prosi mnie o pożyczenie mandoliny; wygrywa na niej estudiantiny i serenady, tak, jak i ja wśród długoletnich wędrówek wygrywałem mazury, oberki i krakowiaki.

Grupa inżynierów włoskich, po jakiemś nieudanem przedsiębiorstwie powracających z Transwalu, trzyma się na uboczu. Sprzeczają się zawzięcie, gestykulują jeszcze bardziej, a wszyscy mają miny zwarzone i kwaśne. Anglików także mamy kilku. Sztywni jak zwykle, nie ciekawi, patrzą z pewnem lekceważeniem na wszystko co ich otacza, jako na nieangielskie. Płeć piękna bardzo ubogo reprezentowana, składa się z trzech Angielek i dwóch wątpliwego koloru dam portugalskich, które chorują nieustannie i mało towarzystwu się udzielają. Reszta pasażerów przedstawia mięszaninę najrozmaitszych typów, klas i narodowości, a pod względem języków istną wieżę Babel.

Miłośnik barwnych, egzotycznych obrazów najbardziej odpowiednich tym strefom, więcej znaleźć może przedmiotu zajęcia na pokładzie trzeciej klasy dla krajowców i Azyatów przeznaczonym. Ten robi wrażenie wielkiego karawanseraju. Najrozmaitsze typy Murzynów, Arabów zanzibarskich, Indyan kalkuckich, razem kilkaset ludzi, rozłożyło się tutaj na dłuższy pobyt, każden zawładnął jakimś kącikiem, zaznaczywszy granice swej posiadłości rozesłanym kobiercem lub matą kokosową. Pośród tego tłumu kręcą się przywiązane na łańcuszkach małpy i drobne oswojone antylopki; w koszach gdaczą kury i kłócą się zawzięcie perliczki,—a słońce igra wśród różnobarwnych strojów i jaskrawych tkanin wschodnich, na których tle energicznie rysują się czarne, atletyczne postacie murzynów.

Nad ranem, po 36 godzinach drogi, stajemy znowu na kotwicy — w Beira. Ten ostatni port choć także na portugalskiem leży terytoryum, od czasu przeprowadzenia linii kolejowej, która łączy go z Bulowayo — stolicą Rhodesyi, odkrył szerokie pole dla przedsiębierczości angielskiej i ta na każdym kroku się tu ujawnia. W mieście bawię krótko, gdyż upał nieznośny, a godnego widzenia mało znajduję. Okolica przedstawia się jako jałowe pustkowie; w osadzie samej domy przeważnie angielskie, budowane z żelaznej galwanizowanej blachy; na ulicach po kostki brnąć trzeba w piasku, i mało kto z mieszkańców zamożniejszych pieszo tutaj chodzi Od domów położonych w głębokich po-

dworkach prowadzą szyny żelazne, które łączą się z główną linią na ulicy. Każdy właściciel domu posiada maleńki wehikuł do tych szyn zastosowany — coś w rodzaju naszej kolejowej drezyny z płóciennem nakryciem i popychany przez murzynów, w ten sposób wycieczki na miasto odbywa.

Rad znalazłem się z powrotem na pokładzie «Bundesrath'a», który tegoż wieczora ku



Ulica w Quelimane.

Quelimane miał popłynąć. Przed opuszczeniem Beiry nadmienić mi jednak trzeba, że port ten leży u ujścia rzeki Pungwe, której wybrzeża karłowatym «bush'em» zarosłe i cała przyległa okolica obfitują dotąd w grubego zwierza. Stada bawołów (*bos cafer*), Hartebeast (*Bubalis caama*) wspaniałe z pięknemi w tył zakrzywio-

nemi rogami, a wielkości konia dochodzące Waterbucki (*Kobus ellipsiprimnus*) i cała masa innych drobniejszych antylop, roją się jeszcze w tym kraju. To też koryto rzeki Pungwe jest ulubionym szlakiem myśliwskim w Południowej Afryce. Niebezpieczeństwo jednak wypraw ta-



Quelimane. Ładowanie kości słoniowej.

kich wielkie z powodu klimatu, w którym zabójcza febra jest prawie nieunikniona. Jeden z moich znajomych natalskich oprócz wspaniałych co prawda trofeów myśliwskich, przywiózł z podobnej wycieczki zupełną głuchotę, i ta ca-

le życie, jako skutek przebytej febry pozostać mu miała. Z czterech innych, którzy tę samą wyprawę z Johannesburga przedsięwzieli, trzech życiem przypłaciło na miejscu kilkotygodniową przyjemność.

Mimo blizkości Quelimane, zaledwie sto kilkadziesiąt mil morskich od Beiry odległego, z powodu jakiegoś nadwerężenia maszyny dopiero trzeciego dnia wieczorem zawinął «Bundesrath», do następnej stacyi, po mozolnej przeprawie przez wązką zatokę, która nakształt kanału w głąb lądu stałego się wrzyna. Jest ona raczej rozszerzonem korytem rzeczki Quaqua, z poblizką Zambezi olbrzymią deltę tutaj tworzącej. Miasto samo z daleka widziane, tak jest podobnem do opisywanego już Inhambane, że dłużej nad nim zatrzymywać się nie będę. Widocznie jednak miejscowość znaczniejsza, ulice szersze i pięknie zabudowane; ruch większy także, choć przeważnie czarna ludność nań się składa, i tylko zrzadka przemykają się przez czterech murzynów dźwigane zręczne palankiny ze schorzałymi, o wybladłych twarzach Portugalczykami.

Ponieważ statek całe dwa dni stać ma na kotwicy, wczesnym rankiem wybieram się na dalszą ekspedycyę w głąb kraju. Za broń mam tęgą laskę — i zaopatrzony jestem nadto w nieodłączny podczas wycieczek moich migawkowy aparat fotograficzny.

Jak w Inhambane, tak i tutaj, plantacye kokosów zdają się stanowić główny przemysł krajowy, wszakże nie brak i innych owoców.

Pomarańcz, bananów, mangosów znajduję wielką obfitość, co mnie mocno cieszy, gdyż zapasy z Natalu zabrane zaczynają się wyczerpywać. Moja wycieczka głównie ma na celu poznanie wnętrza kraju o ile krótkość czasu pozwoli — i nabycie osobliwości, zwłaszcza broni krajowców, o którą jak słyszałem łatwo ma być tutaj.

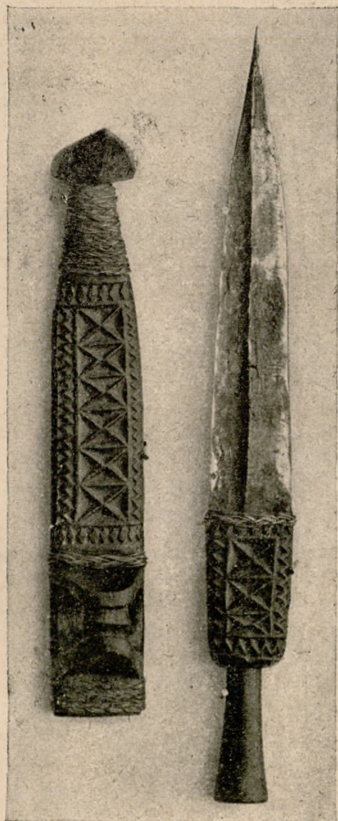
Droga zrazu szeroka i prosta zaczyna się zwężać i wić mnogimi zakrętami, w miarę jak od miasta się oddalam. Gdzieniegdzie natrafiam na porosłe wysoką trzciną moczary, które albo sam z niejaką trudnością przebywam albo za małem wynagrodzeniem na plecach murzyńskich. Atmosfera ciężka i duszna; zanosi się na burzę a z moczarów zatrute wyziewy tamują oddech. Czasami zaszeleści cóś wśród spalonej słońcem trawy, przemknie się płaz jaki, tak szybko, że gatunku nawet rozpoznać nie można. Osady krajowców trafiają się dość często — w tych co kilkaset kroków stoją ponad drogą wielkie kadzie drewniane z napojem jakimś białawym, który jest poprostu sfermentowanem mlekiem kokosowem. Z kadzi krajowcy chciwie gaszą pragnienie misternie wyrabianemi kokosowemi czerpaczkami. Chciałbym skosztować choćby dla zaspokojenia ciekawości lecz pomimo że pragnienie dokucza mi silnie, brak odwagi nie tyle do napoju co do naczynia, które przez setki ust murzyńskich przeszło.

Gromady krajowców płci obojej, w kształtnych, okrągłych kobiałkach dźwigają na głowach różne produkty spożywcze, z któremi dą-

żą do miasta. Widok białego człowieka wywołuje pełne czci manifestacye i dziwaczne powitania. Przykucają wszyscy jednocześnie, powstają znowu i dygnąwszy zlekka, rytmicznie trzy razy po trzykroć głośno klaszczą w ręce, poczem dygnąwszy raz jeszcze w dalszą idą drogę.

Ale trzeba mi się zająć projektowanemi zakupami; sprawa nie łatwa, bo tutejszego narzecza nie znam wcale. Wiadomo mi jednak, że oszczepy, strzały i długie noże, których głównie poszukuję, nazywają się jednem wspólnem mianem: «malagu». Upatrzywszy więc jakąś większą grupę chat murzyńskich, zapuszczam się pomiędzy nie i na migi pokazując czego mi potrzeba, głośno, aby wszędzie dokoła być słyszanym, krzyczę «Malagu! Malagu!» Jak gdyby to słowo magiczną siłę posiadało, wnet zakotłowało się w osadzie, jak w ulu. Starzy i młodzi poskoczyli do chat i za chwilę u nóg moich leżał cały stos najrozmaitszego żelaziwa: strzał, tasaków i oszczepów, wszystko to jednak w opłakanym stanie i zaledwie kilka lepiej zachowanych okazów udało mi się wybrać.

Gdy po bliższem porozumieniu moi dostawcy pojęli o co właściwie mi chodzi, zaczęły się propozycye i wskazówki jak grad sypać i wkrótce, otoczony licznym zastępem dorosłych i dzieci, wyruszyłem na dalsze poszukiwania. Teraz o nic już troszczyć się nie potrzebowałem. «Malagu!» krzyczeli za mnie Murzyni, śmiejąc się przytem, szczerząc białe, jak kość słoniowa zęby i pocieszne przedemną wyprawiając skoki. Przyłączył się jeszcze do orszaku muzykant miej-



Nóż z Quelimane

scowy, pośpiewując wesoło i brzdąkając na jakimś instrumencie z suchej tykwy zrobionym. Kroczyłem więc dalej z eskortą i muzyką, jak kacyk murzyński, wśród swoich poddanych.

Po dwugodzinnej przeszło peregrynacyi po różnych wioskach i osadach, która mnie ostatecznie o jakie trzy mile drogi od miasta oddaliła, zdołałem zebrać nareszcie parę okazów oryginalnych i zajmujących, z których jeden zwłaszcza — nóż w misternie rzeźbionej hebanowej oprawie, wyjątkowo piękną robotą się odznaczał. Podaję też fotograficzną jego podobiznę.

Czas było myśleć o powrocie, bo wieczór szybko się zbliżał, a wśród tych wszystkich zaułków, zarośli i gąszczu palmowego łatwo było zbłądzić. Noc już zapadała ciemna, gdy się znalazłem u przystani. Przy mdłem świetle latarni gromada nawpół obnażonych czarnych, ładowała na przewozowe łodzie worki sezamu, orzechów ziemnych i kość słoniową, wszystko przeznaczone dla naszego statku.

Nie czekając na pasażerską szalupę, po którą trzeba było sygnalizować dopiero, zabrałem się na jedną z tych łodzi i wkrótce zmęczony, zgłodniały dobiłem do «Bundesrath'a».

Cały następny dzień staliśmy jeszcze na kotwicy, lecz owe przeprawy przez bagna mocno dały mi się we znaki. Przyszła zimnica, na szczęście nie groźna, którą kilka potężnych dawek chininy zdołało przerwać, jednak zmusiła mnie ona do kilkodniowego wypoczynku.

Opuściwszy Quelimane wczesnym rankiem, nazajutrz przy pięknym zachodzie słońca wje-

chał »Bundesrath« do Mozambiku. Podróż stawała się coraz bardziej zajmującą: Mozambik i wreszcie Zanzibar, to już nie owe drobne, poprzednio zwiedzane kolonijki portugalskie, ale miejscowości głośne z wypraw wielkich podróżników, tragicznie zapisane w dziejach Afryki, żywo przedstawiające wyobraźni okropności handlu niewolnikami, panowanie islamizmu, walki potężnych sułtanów, a wreszcie pierwsze zdobycze cywilizacyi europejskiej w tych stronach.

Główne miasto mozambickich prowincyi leży na maleńkiej wysepce, od stałego lądu o parę mil zaledwie odległej i przy wjeździe do portu przedstawia się okazale. Na południowo-wschodnim cyplu wyspy, wielka forteca z zębatymi murami i basztami, głęboko w ocean się wysuwa. Od niej, na przestrzeni dwóch przynajmniej kilometrów ciągnie się miasto, którego starożytne, potężne mury i płaskie dachy piętrzą się bezpośrednio nad skalistem wybrzeżem. Dalej gmachy publiczne i piękny ratusz z wysmukłą wieżą kaplicy, zajmują centralne położenie, naprzeciw właściwej przystani, po drugiej zaś stronie znowu, malowniczo ugrupowane domy o starożytnym wyglądzie i skalistej podstawie, płukanej przez fale morskie, ciągną się aż na północny kraniec wyspy. Wszystko to razem wygląda niezwykle zajmująco i obiecuje wiele ciekawych szczegółów przy zwiedzaniu. I w samej rzeczy, miasto zyskuje jeszcze na bliższem poznaniu, tak piękne w niem ulice, bydynki i kościoły, po większej części z owych czasów jeszcze datujące gdy Portugalczycy umieli krzewić

cywilizacyę i rozległy prowadzili handel z temi stronami Afryki. Co prawda był to przeważnie handel niewolnikami, nic też dziwnego, że z chwilą jego upadku, ustał i ruch wszelki w mieście, które teraz robi wrażenie opustoszałego po jakiejś epidemii lub klęsce grodu. I dziwny jest ten kontrast starannie utrzymanych ulic, wybie-



lonych świeżo domów, gmachów publicznych często znać odnawianych, z tą pustką i brakiem życia, które uderza przybysza. W oślepiających promieniach słonecznych przemknie się czasem wyniosła postać murzyna, lub barwny strój arabskiego kupca, ale i ci nawet zrzadka spotykani przechodnie przesuwają się cicho, bez

życia i noszą na sobie jakby piętno ogólnego zastoju i obumarcia. Białych, prócz kilku wojskowych i urzędników nie spotyka się wcale, co zresztą dziwić nie może, bo na 7,000 ludności Mozambik posiada dzisiaj zaledwie setkę europejskich mieszkańców.

Przebiegając kręte uliczki, zatrzymałem się zdziwiony przed napisem umieszczonym na jednym z okazalszych domów: «Escola de Artes». Szkoła sztuk — czyżby pięknych? to byłoby dość ciekawe. Niedługo wszakże trwała moja niepewność; wszedłszy bowiem do wnętrza owego przybytku sztuki, znalazłem się otoczonym przez kilkunastu wojskowych, którzy z wielką uprzejmością ofiarowali się zaspokoić moją ciekawość i przez cały szereg komnat i kurytarzów, wprowadzili mnie do wielkiej sali gimnastycznej. Ano, widocznie sztukę tutaj na swój sposób pojmują i waleczni synowie Portugalii uważają, że uszlachetnianie własnych kształtów i wzmacnianie sił jest «ars», nie gorsza od innych.

Nie mając bardzo nad czem się zatrzymywać wewnątrz miasta, postanowiłem przynajmniej wyspę całą obejść wokoło, na co mówiąc nawiasem, niewiele, bo zaledwie godzinę czasu potrzeba. Na północnym skraju napotykam wielką osadę murzyńską, która robi trochę wrażenie wsi podolskiej. Od czarnej ludności roi się jak w ulu, ale nie znajduję już tutaj owego charakterystycznego typu murzyńskiego, zawsze śmiejącego się i wesołego, spotykanego na południu Afryki: twarze ponure, ruchy ociężałe, spojrzenia złe. Widać w tutejszych mieszkań-

cach stworzenia ludzkie, które pamiętają jeszcze czasy niewolnictwa, które same zaznały go może. Nędza zresztą wokoło, a pojąć ją nie trudno, bo i z czegoż na maleńkiej jałowej wysepce cała ta ludność wyżyć może? jedynie zarobek przy ładowaniu statków i rybołóstwo od śmierci głodowej ją chronią.

Nieopodal od wsi nad samem wybrzeżem morskiem zachowały się dotąd ruiny starego portu, założonego jeszcze przez Albuquerqu'a w r. 1508, czyli w lat parę po zajęciu wyspy przez portugalczyków. Od niego prowadzi ku miastu wspaniała aleja prastarych ogromnych drzew. Gdzieniegdzie widnieją kępy palm kokosowych lub bananów, jest to zresztą jedyna część wyspy pokryta bujniejszą roślinnością. Wszędzie wokoło piasek tylko jałowy lub koralowa skała.

Przeszedłszy jeszcze obok pięknego pałacu gubernatora i kościoła katedralnego, znalazłem się wkrótce z powrotem w przystani, u stóp owej groźnej fortecy, która u wejścia stoi na straży. Broni jej sześćdziesiąt armat wyzywająco skierowanych na ocean, ale tak starych chyba, jak sama forteca. Pierwszy lepszy pancernik angielski w puchby to wszystko rozbił. Wszakże dekoracya jest, a Portugalii, tak jak owym dygnitarzom w cylindrach, o nią przedewszystkiem chodzi.

Na statku, a zwłaszcza wokoło niego, zastałem ruch niezwykły. Z kilkunastu wązkich, jak koryta łódek pasażerowie wyrywali sobie różne osobliwości morskie, muszle, korale w wiel-

kiej obfitości dowiezione przez krajowców. Przekupniom na pomost nie wolno było wchodzić, więc amatorowie ze schodków okrętowych tłoczyli się do łódek przyczem i bez kąpieli się nie obyło.

Okazów prawdziwie pięknych było niewiele, o nie też zawzięta toczyła się walka. Osta-



Mozambik. Ulica San-Domingo.

tecznie zaczęto kupować hurtem całe łodzie towaru, co i najekonomiczniej wypadało i dostarczało nabywcom wielu niespodzianek. Wkrótce pokład zamienił się w istne muzeum konchologiczne, przeciw czemu dyżurny oficer jął mocno protestować i znaczna część wybrakowanego to-

waru zwrócona została falom morskim. Na tych ostatnich epizodach zeszła reszta dnia w Mozambiku. Pod wieczór, przyjąwszy znaczny ładunek sezamu i kokosowego oleju popłynęliśmy ku Zanzibarowi.

Pozostawała nam wszakże jedna jeszcze stacya — Dar-es-Salam, były port sułtana zanzibarskiego, ustąpiony Niemcom w r. 1885. Poznawszy dotąd kolonie francuzkie, angielskie i portugalskie, ciekawy byłem niezmiernie ujrzeć rezultaty germańskiej kultury i systemu kolonizacyjnego w Afryce, z wielkiem też zainteresowaniem czekałem przybycia na miejsce.

Z odległości widziane Dar-es-Salam wprost uroczo się przedstawia. Tylko co właśnie minęła burza z ulewnym deszczem połączona, gdy wjechaliśmy w zatokę, przed samym zachodem słońca, które z poza chmur ukazywać się zaczęło, oświecając wesoło krajobraz. Jak wszystkie dotąd odwiedzane zatoki, tak i tutejsza głęboko w ląd się wrzyna i prowadzi do portu rodzajem kanału, po obu stronach którego ciągną się kokosowe lasy i rozrzucone wśród nich piękne, nowożytne gmachy: szpitale, koszary, szkoły, hotele, wszystkie wyświeżone, nowe i jeśli tak wyrazić się można, jakby z igły zdjęte.

Ledwie zapuściliśmy kotwicę, chmara eleganckich białych łódek obległa statek i pokład zaroił się wkrótce rumianymi, świeżymi, na piwie wykarmionymi Niemcami, urzędnikami po większej części lub wojskowymi, bo pono z tych przeważnie kolonia się składa. Widać po całem zgromadzeniu, że to nowicyusze; treścią rzeczy

celem swego pobytu, mało się jeszcze przejęli i nie oswoili z nowością sytuacyi, która ich bawi, tak jak bawią białe kaski, strój egzotyczny biały również i służba murzyńska, którą się radzi otaczają i ostentacyjnie posługują. Militaryzm, jako główne tło i kierunek administracyi bije w oczy, a mam dobrą sposobność obserwować stosunek do krajowców, gdyż przybywa na pokład setka czarnych żołnierzy z żonami i dziećmi. wyprawiających się na pielgrzymkę do Mekki.

Mamy odpłynąć tej samej nocy, nie schodzę więc na wybrzeże, zresztą wszystko, cokolwiek interesującego miejscowość przedstawia, gromadzi się po trochu na pokładzie i tak barwnie przedstawia, że szkoda by mi było jedną chwilę widowiska stracić.

Noc zapadła ciemna. Snopy elektrycznego światła padają z góry na pomost, oświecając dziwaczne zgromadzenie. Żołnierze czarni grupują się rodzinami, rozkładają tłomoki, zapasy podróżne, zawczasu obejmując w posiadanie jakiś kącik pokładu. Kobiety o pięknej, wyniosłej postawie ubrane ciemno, z czarną na głowie i ramionach zasłoną, szyje obwieszone mają całą kolekcyę amuletów i gęstymi rzędami pereł, które na piersi im spadają. Jedne tulą do łona dzieci drobne, inne w braku konsolacyi zabrały ze sobą małpki i te na łańcuszku lub również u łona trzymają. Typy Murzynów wogóle piękne, rysy reguralne, spojrzenia rozumne; mimo czarnego jak heban koloru skóry wi-

doczne w nich skrzyżowanie z rasą szlachetniejszą. Rozesławszy pięknie wyrabiane maty kokosowe, kilkunastu Arabów zanzibarskich w czarnych, srebrem szytych strojach i z bogatymi za pasem puginałami, trzyma się na uboczu od czerni: Wśród całego tłumu tego kręcą się liczni przekupnie z miejscowemi osobliwościami. Są tam i rogi antylopie i skóry dzikich zwierząt, kły hipopotamów, wiązki całe surowych lasek hebanowych, broń krajowców: noże, łuki, assagaje i strzały; najrozmaitsze wyroby drobnego przemysłu, niestety w znacznej części na sprzedaż dla turystów fabrykowane i mało co oryginalnego znaleść wśród nich można.

Nie brak scen ożywionych i komicznych. Małpy pogryzły się między sobą i wyrywają się z łańcuszków, w które nieostrożnie zaplątał się tłusty niemiec. Walka odbywa się między jego nogami i widocznie od czasu do czasu po łydkach mu się dostaje, bo krzyczy w niebogłosy i na oślep kijem sypie razy. Galerya zanosi się od śmiechu, małpy piszczą przeraźliwie, żołnierze i kobiety rzucają się, by rozdzielić walczących: istna heca jarmarczna. Na uboczu inny niemiec z wytresowaną małpą każe jej salutować po wojskowemu: ani się domyśla, jak doskonale ilustruje miejscowe stosunki i kulturę germańską! U samych schodów jakieś tajemnicze piękności o skórze mocno zabarwionej, ładne jednak istotnie i malowniczo odziane, ślą wyzywające spojrzenia — to miejscowe odaliski, które odwiedzają zwykle statek

zapewne, aby uzupełnić obraz kolonialnych obyczajów niemieckich.

Tymczasem z sali jadalnej dochodzi coraz głośniejszy gwar, śpiewy, coraz gęstsze hoch! prosit! To oficerowie nasi ugaszczają współziomków festynem piwnym. Czasami pojawi się na pokładzie postać nawpół pijanego «landsman'a,» który na świeże powietrze wyszedł odetchnąć. Kręci się wśród czarnych żołnierzy i stara się zamaskować swój stan groźną miną i brutalnem obejściem z towarzyszącą mu na statek usługą murzyńską, niesmacznie popisując się tą nieograniczoną władzą, jaką sobie nad krajowcami przyznaje.

Późno się robi, a bachanalia piwna wciąż się przedłuża. Kapitan parę razy posyłał, aby grzecznie przypomnieć gościom, że czas już rozejść się, gdy to jednak nie skutkuje, o jedenastej każe gasić wszystkie światła w jadalni i na korytarzach. Następuje chwila grobowego milczenia — i znowu wybuchają śmiechy, gwar i śpiew rozochoconej kompanii, która rada nie rada zaczyna wydobywać się na pomost. Niemcy wychodzą gromadnie, trzymając się pod ręce i mocno zataczając. Nogi co chwila plączą im się wśród tłumu czarnych, wśród małp, klatek z drobiem i pakunków, którymi pokład jest zarzucony; — dobijają nakoniec do schodów i przyzywają czekające w pogotowiu szalupy. Dobrze wymustrowani czarni wioślarze podpływają w mgnieniu oka — zaczynają się czułe pożegnania, uściski, śpiewy znowu a wreszcie bardziej lub mniej pomyślna przeprawa przez

wązkie i strome schodki okrętowe. Zdawałoby się, że tutaj koniec widowiska, ale ono zaczyna się dopiero. Niemcy nabrawszy po piwie rezonu odbierają wiosła murzynom i sami chcą jechać do brzegu. Na jednej łodzi siada ich sześciu, jeden za drugim; energicznie zabierają się do rzeczy, ale za pierwszem poruszeniem wszystkie wiosła jadą w górę a wraz z niemi widać na tle ciemnej nocy, jak sześć par białych inekspKrimablów rozpaczliwie szamocze się w powietrzu, usiłując wrócić do normalnej pozycyi, gdy punkt ciężkości, jakby balast, na dnie łodzi spoczywa. W drugiej szalupie inna znowu scena. Jakieś umundurowane indywiduum, usiadłszy na skraju wątłej łódki, śmieje się idyotycznie i gwałtownie nią kołysze. Wnet nabiera się woda, powstaje alarm, pijak zrywa się, traci równowagę i za chwilę pluszcze się w ciemnej fali, z której nie bez trudu wydobywają go wioślarze.

Żołnierze murzyńscy, tak niedawno jeszcze srogo mustrowani — oparci o galeryę statku zanoszą się od śmiechu i na wyścigi drwią z bezpośrednich swoich panów i zwierzchników. Wszak oni wszyscy mahometanie i dla nich pijany człowiek gorszym jest od — nieczystego zwierzęcia, zohydzonego prawem koranu!

Z niemniejszym humorem i szyderstwem przyglądają się tej scenie angielscy i portugalscy pasażerowie. Pierwsi na stosunku do krajowców, na czci i poszanowaniu wzbudzanem wśród dzikich, na podtrzymywanym konsekwentnie uroku białego człowieka, opierając pa-

rowanie swoje w koloniach, pojąć nie mogą takiego zarzucania wszelkiego decorum i przyzwoitości — drudzy mniej praktycznie rzecz biorą, ale sama miłość własna, próżność i tradycya odwieczna w tych stronach Afryki każą im się otaczać wobec krajowców jakąś aureolą wielkości i powagi, a poniżające pospolitowanie się, jakiego Niemcy dali nam przykład, również czemś niepojętem im się wydaje,

Taką więc miałem próbkę kultury germańskiej w Afryce. Oczywiście sądzić z niej o całem dziele nie można, wszakże o ile dowiedzieć się zdołałem, mimo znacznych nakładów na drogi, budowle i ulepszenia rozmaite, ruchu handlowego w kolonii mało, a konkurencya z przedsiębiorczością i doświadczeniem Anglików, których terytorya z Zanguebarem graniczą, trudna i na pierwszy plan wysunąć się nie pozwala.

Od Zanzibaru jesteśmy już bardzo niedaleko, lecz z powodu skał podwodnych żeglować trzeba z wielką ostrożnością. Wyjechaliśmy więc nad ranem dopiero i przeprawa połowę dnia zajęła.

Uważałem sobie Zanzibar za główną stacyę w mej podróży. «Bundesrath» miał się zatrzymać całe trzy dni, a czując jeszcze resztki febry, nabytej w Quelimane, zamierzałem dobrze wypocząć tutaj. List polecający do biskupa katolickiego M-gra Algheier, którego zresztą w Natalu jeszcze poznałem, zapewniał gościnne u misyonarzy naszych przyjęcie, zwiedzanie zaś miejsca samego wiele nowych obiecywało wrażeń.

Jakoś ku południowi wjechaliśmy w kanał oddzielający wyspę od stałego lądu. Na prawo zarysował się wązki pas ziemi pagórkowaty z brzegu, płaski na całym obszarze;



Seid-Ali, zdetronizowany sułtan Zanzibaru.

wkrótce też zamajaczyły w oddali maszty stojących na kotwicy statków, mury miasta — był to Zanzibar.

Wszędzie, gdzie tylko islamizm głębiej zapuścił swoje korzenie, tam wycisnął niezatarte piętno i nadał miejscowości odrębny, sobie tylko właściwy koloryt, który uwydatnia się na każdym kroku: w architekturze, strojach i obyczajach. Nawet ludność pierwotna przez krzyżowanie ras i wpływy religijne przybiera jakiś typ i nastrój inny i harmonizuje z otoczeniem.

Zanzibar jest więc także miastem nawskroś muzułmańskiem, a jest niem od kilku stuleci. Ludność wyspy zwana *Souahili*, przedstawia mieszaninę typu arabskiego z murzyńskim i ta sama mieszanina odnajduje się w języku. Arabowie zanzibarscy pochodzą właściwie z Maskatu, którego sułtanowie opanowali całą nadbrzeżną okolicę od przylądka Delgado aż do Guardafui w końcu XVII wieku. W r. 1840 sułtan Seid-Said przeniósł ostatecznie rezydencyę swoją z Maskatu do Zanzibaru i od tego czasu wyspa oraz całe owo wybrzeże Zanguebarem zwane, stanowiły oddzielne, niezależne państwo, póki niemieckie i angielskie zabory tej niezależności kresu nie położyły.

Jakiś czas pod niemieckim protektoratem zostająca wyspa, wzamian za Helgoland niedawno odstąpioną została Anglii i z pewnością na tej zamianie ani kraik, ani ludność jego nie straciły. Sułtan zawsze oficjalnie rządy sprawuje, ale po pamiętnej, nieudanej próbie wydobycia się z pod cudzoziemskiej przemocy Said-Alego w r. 1895 i zbombardowaniu przez angielską flotyllę jego pałacu i haremów, stanowisko to zrobiło się

czysto dekoracyjnem. Said-Ali, jak wiadomo schronił się pod opiekę niemiecką i dotąd w Dar-es-Salam pod nią zostaje, a nowy sułtan Said-Hamud, który mimo wątpliwych praw dynastycznych,— został osadzony na tronie przez anglików, jest poprostu biernem narzędziem, malowaną lalką w ich ręku, bierze 40,000 rupij rocznej pensyi od rządu i ciągnie prócz tego z ceł i podatków znaczne dochody, które mu pozwalają prowadzić wystawne życie. Nieopodal od miasta przejeżdżamy właśnie około wspaniałego pałacu, budującego się obecnie na letnią rezydencyę dla sułtana.

Wyspa na przestrzeni 29 mil kwadratowych ma około 150,000 ludności, której dwie trzecie na stolicę samą przypadają. Z pozoru wydaje się to niemożliwem, ale trzeba być tylko trochę obeznanym z miastami wschodniemi, aby pojąć jak wielką ilość mieszkańców te zwarte mury pomieścić mogą. «Bundesrath» stanął właśnie na kotwicy wprost pałacu sułtańskiego, który nie zupełnie podźwignął się jeszcze z gruzów, ale pomimo to ma wygląd dość okazały. U wejścia na bulwary stoi odwieczna śpiżowa armata, jedna z tych prawdopodobnie, któremi biedny Said-Ali próbował stawić czoło angielskim pancernikom. Wzdłuż przystani ciągną się dalsze zabudowania pałacowe, haremy, stajnie, zaś przy bramie głównej stoi klatka żelazna z pięknym, niedawno schwytanym lwem.

Zapuszczam się wgłąb miasta, bo pilno mi do misyi, w której spodziewam się znaleźć najlepszą radę i wskazówki, co do spożytkowania



Zanzibar. Pałac i haremy sułtana.

mego pobytu. Trafić do niej nie łatwo, wśród krętych i wązkich jak korytarze uliczek. Kilkunastu oberwanych arabów i murzynów ofiaruje mi natrętnie swoje usługi, ale ciceronów z zasady nie znoszę, opędzam się więc groźbą, a wreszcie i kijem. Nakoniec dzięki wskazówkom jakiegoś Anglika, odnajduję dom misyjny widocznie ze starego arabskiego przerobiony i podobny do innych otaczających go budowli. Tylko krzyż kamienny nad wejściem znamionuje obecne jego przeznaczenie.

Biskupa nie zastaję: wyjechał na objazd dyecezyi, czyli na kilkomiesięczną podróż w głąb Afryki, ale misyonarze przyjmują mnie, jak najlepszego znajomego i nie dają mówić o powrocie na statek. U nich cały czas pobytu mam spędzić; tylko, w misyi samej pomieszczenie niedogodne, mam więc być przekazany ojcu Baurowi — pére Etienne, jak go tu wszyscy nazywają — który rezyduje przy szpitalu i tam będzie mnie mógł lepiej ugościć. Idę więc do niego w towarzystwie jednego z misyonarzy. Szpital położony nad samem wybrzeżem morskiem i otoczony ładnym ogródkiem; świeżo tu, miło i swojsko; chorych chwilowo nie ma prawie wcale.

W obszernej celi, której drzwi szeroko na balkon rozwarte, zastaję pięknego o wyniosłej postawie starca, z długą jak śnieg białą brodą, która mu spada poważnie na piersi.

W spojrzeniu dobroć i spokój, mimo śladów przebytych cierpień i trudów, podczas kilkudziesięciu lat misyonarskiej pracy. To ojciec

Stefan Baur, wspominany przez Sienkiewicza w «Listach z Afryki». Z trudnością powstaje na moje przyjęcie: złamany wiekiem i chorobą większą część dnia spędza w fotelu, mało na świat wychodząc.

Zawiązuje się rozmowa, a usłyszawszy, że jestem polakiem wypytuje mnie ojciec Stefan o Sienkiewicza i o jego towarzysza, których w tym samym szpitalu ugaszczał i pielęgnował, a dopytuje się serdecznie, z zajęciem, co chwila wspominając szczegóły z ich pobytu. Siedm lat poza krajem spędziwszy mogłem mu tylko mówić o «Bez Dogmatu,» «Quo Vadis» i o «Krzyżakach,» które za Oceanem nie pozostały mi obcemi — ale i cóż więcej o Sienkiewiczu powiedzieć, gdy on cały w dziełach swoich się streszcza. Przejęty byłem «Krzyżakami,» tą powieścią nawskroś polską, której czytanie niedawno właśnie rozpocząłem, a powrót do kraju, spotkanie tutaj, na krańcu Afryki śladów i wspomnień po naszym wielkim pisarzu, nastroiły mnie jeszcze goręcej, mówiłem więc długo i starałem się ojcu Stefanowi wyjaśnić, jakiej miary dorósł Sienkiewicz i czem jest dla naszego narodu.

Zająwszy przeznaczony mi pokój z galeryą wychodzącą na wewnętrzne podwórko, ogród i otaczające go pałace arabskie, wziąłem się razem z ojcami do ułożenia programu na czas mego pobytu. Z poręki ojca Stefana przyjąłem na ten raz «cicerona» w osobie Rafaela, czarnego sługi misyjnego, z wysp Komorskich. Doskonale ułożony, usłużny, grzeczny, biegle mówiący po francusku, Rafael przedstawiał wszystkie warunki

pożytecznego przewodnika a nawet towarzysza. Wkrótce też puściłem się z nim na dalszą wycieczkę po mieście i okolicy, poświęciwszy najpierw czas dłuższy na obejrzenie środkowej części miasta. Ulice tu wązkie i ciemne, domy typowe arabskie, puste na pozór, o ścianach zasklepionych i jednostajnym wyglądzie. Wejścia ich tylko zdobne zakreślonym w płaskorzeźbie łukiem i kamienną ornamentacyą odrzwi. Sklepów mnóstwo; niektóre przez Europejczyków utrzymywane, dostarczają każdego niemal towaru, jakiego przybysz z zachodu może zapotrzebować. Gęściej atoli rozsypane wśród tej dzielnicy składy indyjskie, arabskie lub żydowskie. Tam nagromadziło się w malowniczym nieładzie całe bogactwo wschodu, w tkaninach jedwabnych, kosztownych kobiercach, delikatnie cyzelowanych srebrnych naczyniach, wyrobach z kości słoniowej, hebanu, szyldkretu, prześlicznie tkanych matach i t. p. cennych towarach. Oczy wypatrzeć można i trzeba zimną krew zachować, aby się nie skusić na rujnujące zakupy.

Gdy tak błądziliśmy z Rafaelem wśród sklepów, lunął nagle, jak z cebra, gwałtowny deszcz. Ulice nie brukowane, ale grunt twardy, kamienisty wody nie przepuszcza i wkrótce trzeba nam było brnąć po kostki w wartkim potoku, który się utworzył w mgnieniu oka i bystrym pędem płynął ku morzu. Zdecydowałem się wreszcie szukać schronienia w jakimś wielkim magazynie, który się okazał hurtownym składem kości słoniowej. Tak często słyszy się i czyta o wyczerpaniu coraz większem tego cennego

materyału, że zdziwiony byłem widokiem ogromnych zapasów nagromadzonych tutaj. Cały magazyn od podłogi do sufitu literalnie zawalony był kłami przeróżnych rozmiarów i gatunków. Niektóre dochodzą niezwykłej długości; najlepszy miałem tego przykład, gdy nazajutrz ojciec Baur pokazał mi wspaniałą laskę, wyrobioną z jednej sztuki, a właśnie tylko co otrzymaną w drodze porękawicznego od kilku arabskich kupców, po jakiejś większej na rzecz misyi tranzakcyi. Wspomnę nawiasem, że laska ta zdobna szczerozłotą gałką z cyzelowanym pięknie znakiem krzyża, stanowiła iście książęcy podarunek, który ojciec Baur na 500 franków najmniej szacował.

Właściciel magazynu, kalkucki Indyanin, biegle mówiący po angielsku, dawał mi tymczasem zajmujące objaśnienia, co do handlu i obecnego stanu rzeczy w Zanzibarze. Od czasu bombardowania miasta ruch handlowy o połowę podobno się zmniejszył. W nastroju ludności czuć ogólne jakieś niedowierzanie i niepewność, która stosunki z wnętrzem Afryki bardzo osłabia i ruch wszelki tamuje. Nie ma jednak wątpliwości, że Anglicy sytuacyę tę opanować potrafią.

Minęła ulewa, woda spłynęła z ulic i oczyściła miasto. W odświeżonej znacznie atmosferze lżej oddychać — idziemy więc raźnie w dalszą drogę i znajdujemy się niezadługo w dzielnicy drobnych handlarzy indyjskich i arabskich. Tutaj dopiero zdać sobie można sprawę, jakim sposobem Zanzibar, tak niewielką stosunkowo przestrzeń zajmujący, pomieścić może z górą



Drzewa mangosowe w Zanzibarze.

100,000 ludności. Ależ to istne mrowisko! Wśród zwartych ciasnym rzędem, po obu stronach ulicy sklepików, drogę z trudnością utorować sobie można. Powietrze duszne od korzeni aromatycznych, jarzyn, owoców, które ogromnymi stosami zalegają stragany kupieckie. Drobne dzieci plączą się ustawicznie między nogami, tłum różnobarwny i hałaśliwy snuje się nieprzerwanym potokiem, potrąca się, zwiera, zatrzymuje i z nowym impetem dalej płynie. A tu jeszcze ustępować trzeba z drogi ciężko objuczonym osiołkom, które niemal całą szerokość uliczki zajmują i przylepiać się do ściany, aż przejść nie raczą. Gwar, kłótnie, wołania przekupniów zachwalających swój towar; uciekam z tego odmętu na swobodę, za miasto, gdzie otwiera się szeroka płaszczyzna i droga wiodąca do sąsiednich plantacyj.

Po świeżo spadłym deszczu, pięknie zielenieją kępy palm kokosowych, pomarańczowe, chlebowe drzewa i wspaniałe o zwartym, ciemnym liściu mangosy, których kopułowate i pełne kształty, wysoko w górę się wznoszą. Gdzie niegdzie stoi odosobniony baobab, istny potwór wśród drzew Afrykańskich. Mimo imponujących rozmiarów swoich, pnia zwłaszcza kolosalnej objętości, jest szczerze szpetny, skurczony jakiś, a nadomiar przez większą część roku zupełnie pozbawiony liścia, dziwacznie też od tła rozkosznej wegetacyi tutejszej odbija.

Z powrotem zataczamy duże koło, aby przejść przez murzyńskie przedmieście Mnazimoja, które zupełnie oddzielną i bardzo charak-

terystyczną dzielnicę stanowi. Szczególniejsza tu mięszanina dawnego obyczaju, trybu życia i urządzenia domów, z naleciałościami muzułmańskiej kultury. Sklecone z ziemi chaty przypominają kształtem lepianki murzyńskie, ale drzwi w nich ozdobne, pięknie rzeźbione, na podobieństwo arabskich. Ludność w długie, białe koszule odziana i w białych również krymkach na głowie, snuje się tłumnie; typy wogóle rosłe i piękne a nastrój poważny, jak przystało na prawowiernych mahometan. Gęsto wśród osady rozrzucone meczety nie przeszkadzają bynajmniej praktykowaniu obrządków dawnej, pierwotnej religii. Właśnie dochodzi mnie odgłos jakiejś muzyki, jeśli nazwać nią można przeraźliwy pisk arabskiej fujarki z łomotem kotła, bezładnie połączony. Rafael przez rozliczne zaułki prowadzi mnie w kierunku owej kakofonii, w miarę zbliżania coraz nieznośniejszej dla ucha. Stajemy nakoniec przed niewielką chatą, przez uchylone drzwi której, wybija się nazewnątrz rytmiczne stąpanie ludzkich nóg i dzikie, ale tajemniczo pociągające śpiewy; nad tymi zaś góruje wciąż owa przeraźliwa fujarka i huk kotła.

W półmroku zalegającym obszerną komnatę zaczynam rozróżniać najdziwaczniejsze zebranie, jakie zdarzyło mi się widzieć kiedykolwiek. W głębi, na wywyższeniu zasiadł olbrzymi, o herkulesowych kształtach, całkiem prawie obnażony murzyn i frenetycznie wali oburącz w wielki bęben. Pot leje się z niego strumieniem, ale tak jest przejęty swoją czynnością i tak zdaje się

upojony dźwiękami, że zatracił wszelkie poczucie istnienia, a spojrzeniem iskrzącem i błędnem zarazem, zawisł gdzieś w przestrzeni. Tuż obok niego drugi muzykant, wydąwszy jak banie policzki dmie w fujarkę,—a u stóp tej orkiestry kilkudziesięciu tancerzy obojej płci, twarzą zwróconych do środka, utworzywszy wielkie koło posuwa się miarowo, powoli wybijając takt nogą i trzymanym w ręku wysokim kijem. Mężczyzni w tych samych białych koszulach i krymkach na głowie, dziewczęta zaś dość oryginalnie, udrapowane w ciemniejsze bawełniane materye. Ale wrażenie największe wywiera owa dzika, smętna nuta, która rozlega się chórem tubalnych, męzkich głosów i pełnym kontraltem kobiet. Zapytany o znaczenie tej całej ceremonii Rafael—sam katolik, inteligentny i dobrze widać obeznany z miejscowymi zwyczajami, objaśnia mnie, że jest to zabytek fetyszyzmu, religii pierwotnie przez krajowców wyznawanej. Cała osada Mnazi-moja, a raczej cała ludność jej podzieloną jest na grupy, z krórych każda posiada taki dom zebrań, utrzymuje w nim muzykantów, a każdy z uczestników nieraz po kilkakroć dziennie przyjmuje udział w podobnych tańcach i śpiewach, mających na celu zażegnanie wpływów złego ducha. W ciągu więc dnia całego, w różnych punktach osady rozlega się ta sama muzyka i gromadzi coraz to nowe koła stowarzyszonych. Obrządki te mają w sobie coś iście demonicznego: dotąd brzmią mi w uszach dziwaczne dźwięki, a cała scena pełna szatańskiej jakiejś brzydoty niezatarcie utkwiła w mej



Mnazi-Moja, przedmieście murzyńskie Zanzibaru.

pamięci. Rozdrażniony i zmęczony, z Mnazi-moja skierowałem się ku szpitalowi. Tam, podany w moim pokoju czekał już na mnie obiad, po spożyciu którego spędziłem jeszcze godzinkę na balkonie z ojcem Stefanem i udałem się wkrótce na dobrze zapracowany spoczynek. Gorąco, mimo otwartych drzwi i okien, było straszne, drobniutkie moskity cięły nielitościwie, ale zmęczenie i rozkosznie wygodne łóżko niezadługo powieki do snu mi skleiły.

Nazajutrz rano po mszy wysłuchanej w maleńkiej kapliczce szpitalnej wyszedłem na miasto w towarzystwie ojca Stefana i razem skierowaliśmy się ku missyi. Po drodze mój towarzysz udzielał mi wielu cennych objaśnień i szczegółów dotyczących miasta. Między innemi rzeczami wskazał mi dom, w którym *en honnête bourgeois* osiadł obecnie Tippo-Tip ów głośny handlarz niewolników, często wzmiankowany w podróżach Liwingstona, Stanleya i Casatiego. Zaglądam ciekawie przez uchylone nawpół drzwi, ale żywej duszy ujrzeć nie mogę. Dopiero później, gdy zostawiwszy ojca Baura w missyi, na dalsze peregrynacye puściłem się znowu i umyślnie około domu Tippo-Tipa parę razy przeszedłem, udało mi się zobaczyć starego zbrodniarza, gdy na ulicę wychodził. Czarny, o siwej, wełniastej, krótko porastającej brodzie, odziany skromnie, więcej ma w sobie murzyńskiego typu niż arabskiego. Czerstwy jeszcze i silny, żałować musi, że surowa kontrola międzynarodowa przerwała tak korzystne niegdyś wyprawy jego w głąb Afryki; podobno zre-

szta kontrabandy nie wyrzekł się jeszcze i zaufanym, grubo opłacanych usług nie odmawia.

Resztę dnia spędziłem na drobnych zakupach, zdejmowaniu fotografij i ponownem przebieganiu miasta, którego ogólny charakter łatwiej mi było teraz uchwycić. Żałowałem tylko,



Zanzibar. Widok ze szpitala misyjnego.

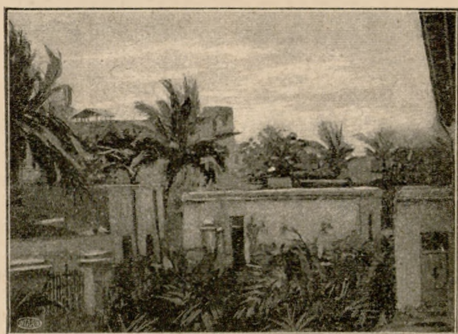
że krótkość czasu nie pozwalała na wycieczkę w głąb wyspy, gdzie i naturę kraju byłbym mógł poznać bliżej. Rafael był mi już zbytecznym; poleciłem mu tylko nabycie sprawunków wybranych poprzednio i przygotowanie sporego zapasu owoców, które na morzu nieocenionem są dobrodziejstwem podczas skwaru dziennego.

Na obiedzie byłem znowu w szpitalu—a przed zachodem słońca spotkaliśmy się z ojcem Baurem na galeryi, która wzdłuż budynku całego ponad wybrzeżem morskiem się ciągnie.

Mój sędziwy towarzysz w dobrem był usposobieniu do rozmowy, z czego też nie omieszkałem skorzystać, aby wyciągnąć od niego jaknajwięcej wiadomości o Zanzibarze i wspomnień z życia misyonarskiego.

— Wiele się zmieniło — opowiadał ojciec Stefan, zasiadłszy wygodnie w głębokim fotelu — od czasu mego przybycia w te strony, a wszak 40 lat blisko pracy misyonarskiej mam za sobą, częścią w Zanguebarze, częścią na wyspie samej spędzonych. Z początku niesłychane trudności przychodziło nam tu zwalczać. Chrześcianin każden, a cóż dopiero misyonarz, był przedmiotem takiej nienawiści w tym sfanatyzowanym muzułmańską propagandą kraju, że nie mówiąc o przeszkodach, na każdym kroku stawianych, życie nasze w ciągłem znajdowało się niebezpieczeństwie. Przyznać trzeba, że sami sułtanowie stosunkowo najmniej uprzedzonymi się okazywali. Czterech ich znałem tutaj; drugi z rzędu, Said-Barkasch, wprost życzliwie do nas się odnosił, a siostry jego Bibi (księżniczka) Selima i Bibi Kole niejednokrotnie odwiedzały misyę, interesując się rezultatami naszej pracy. Podczas tych odwiedzin miewały czasem fantazye i zachcianki, którym trzeba było dogadzać, bo przecież na stosunku dobrym zależało nam bardzo. Tak naprzykład, Bibi Kole wyraziła kiedyś nie bardzo prawowierne, jak na mahome-

tankę życzenie, aby jej podano szampańskiego wina! Co tu robić? U nas takich zbytków nawet dla chorych się nie trzyma. Posyłamy na miasto do sklepów, konsulatów — wina niema ani na lekarstwo. Dopiero jedna z sióstr szpitalnych wpadła na pomysł: z butelki limonady gazowej, aromatów jakichś i kieliszka koniaku przygotowała napój, który księżniczka w naj-



Zanzibar. Widok z galeryi szpitala misyjnego.

lepszej wierze za szampańskie przyjęła i wypiła z gustem wielkim.

Tendencya do emancypacyi jaskrawiej jeszcze ujawniła się u księżniczek, gdy kilkanaście lat temu Bibi Selima, jak najpospolitsza Grätchen pozwoliła się wykraść z pałacu sułtańskiego młodemu kupcowi niemieckiemu—i wstąpiwszy z nim w związek małżeński, od wielu lat przemieszkuje w Niemczech, jako pani Ruhete, obecnie wdowa. Said Barkasch nigdy się

nie pogodził z tą całą awanturą i siostry nie chciał widywać. Obecnie jednak musiały się stosunki z dworem naprawić, bo słyszę, że równocześnie z przybyciem pańskiego statku przyjechała parowcem «Messageries Maritimes», jedna z córek pani Ruhete i ta salwa z dział pałacowych, którą pan musiał zauważyć, na jej powitanie była daną».

— «Jak pan się łatwo domyśla, głównem zadaniem naszem była walka z handlem niewolnikami, a w tej, niestety, najlepsze stosunki z dworem sułtańskim żadną nie były nam pomocą, tak zwyczaj był zakorzeniony i uświęcony prawem. Około 40,000 niewolnika przechodziło corocznie przez rynek zanzibarski. Sultan od każdej głowy pobierał piastra cła wywozowego, łatwo więc pojąć, że nie był skłonnym do ograniczeń, któreby uszczuplić musiały jego dochody. To też do czynnego wmięszania się państw europejskich działalność nasza była ściśle ograniczoną środkami, jakie ofiarność publiczna i własne dochody dawały do naszego rozporządzenia na wykup niewolników. Ale jakżeż marnemi wydawały się te środki wobec otchłani niedoli ludzkiej, na którą patrzeć trzeba było bezsilnie! Serce się kraje i dusza wzdryga na samo wspomnienie tych okropności, jakie oczy moje oglądały. Widziałem tysiączne zastępy nieszczęsnych czarnych, skutych łańcuchem w jeden długi szereg i gnanych całe setki mil do tego targowiska: kobiety, mężczyzni i dzieci — wszystko razem zmięszane, zgłodniałe, katowane najokropniej. Połowa w drodze zostawała, a gdy

który z niewolników zesłabł, zachorował i nie był w stanie iść dalej, — by nie tracić czasu na próżno, jednem cięciem szabli odcinano okuty członek, który go łączył z szeregiem i krwawy łańcuch, z ciepłemi jeszcze, ohydnemi resztkami ciągnął dalej przez bagna, zarośla i puszczę leśną posępne tłumy. Widziałem tutaj, na publicznym targu istoty ludzkie, jak bydło na sprzedaż wystawione. Widziałem matki, którym dzieci odbierano; widziałem ohydnych starców, którzy przychodzili napawać oczy widokiem nagich kształtów dziewiczych i kalać je dotknięciem drżących rąk swoich, niby sztukę bydła, której wartości przed kupnem się próbuje. Setki rąk wyciągały się ku mnie z niemem zaklęciem i setki ust zanosiły błagalną prośbę: «Kup mnie, biały człowieku!» Ale na wykupienie choćby jednej nędznej ofiary nie starczyło nieraz środków—i upokorzony, pełen wstydu za nasz ród Kainowy, zrozpaczony mą bezsilnością — oczy odwracać musiałem, aby uniknąć spojrzeń, w których mój widok promień nadziei budził, a na które tylko łzą upokorzenia, bezmierną litością i cichą modlitwą odpowiedzieć mogłem! Moje prożby niegodne zostały wysłuchane nakoniec;— niewolnictwo w tych stronach zniesione jest oficyalnie, choć niestety za kulisami wiele jeszcze dzieje się złego i wielu lat będzie potrzeba, aby je doszczętnie wyplenić».

U stóp naszych pogodna fala morska leciutką pianą muskała skaliste, płaskie wybrzeże, cudnej zieloności mchem porosłe. Dalej otwierała się głębia morska bezdenna i tajemnicza,

ale tak przedziwnie czysta, że w szmaragdowem jej przezroczu oko tonęło bez końca, z tem uczuciem, że do dna samego dotrzeć potrafi. I w toni owej krystalicznej, w krajobrazie pełnym niezamąconego spokoju i nadziemskiej prawie pogody, wyobraźnia szukała ukojenia po krwawych obrazach, roztoczonych w opowieści ojca Stefana.

Nazajutrz ulewny deszcz pokrzyżował mi plany na ostatni dzień pobytu. Wieczorem mieliśmy podnieść kotwicę, spędziłem zatem większą część dnia w misyi na pogawędce z ojcami, zwiedzaniu nowobudującego się kościoła, szkółek, drukarni i wtajemniczaniu się w pracę misyonarską. Znalazłszy w bibliotece sporo dzieł, dotyczących Afryki i samego Zanzibaru — przy nich oraz przy butelce doskonałego algierskiego wina, darze przez Ojców Białych (Pères blancs d'Afrique) przysłanym, resztę dnia spędziłem. Słońce już zachodzić miało, gdy serdecznie żegnany przez ojca Stefana—i cały personel misyi, w towarzystwie obładowanego owocami Rafaela, skierowałem się ku przystani i najętą stamtąd łodzią powróciłem na statek.

W dalszą drogę mieliśmy wyruszyć dopiero późną nocą, gdyż ładowania sporo jeszcze pozostawało. Zająłem się przygotowaniem mej instalacyi na pokładzie i wyszukaniem dogodnego na nocne leże miejsca, gdy, o zgrozo! spostrzegam, że moje składane krzesło znikło bez śladu z kryjówki, gdziem je był złożył. Na nic wszystkie poszukiwania; przepadło, jak kamień w wodę, skradzione zapewne przez którego z krajowców, najętych do ładowania. Trzeba wie-



Stara twierdza portugalska w Mombasie.

dzieć, czem jest na statku podobne krzesło dla pasażera, który wprost niezdolny jest sypiać w kajucie, który pokład obiera sobie za «locum fixum» na cały czas podróży, aby pojąć ogrom mej straty. Dla mnie krzesło moje, a raczej szezlong, było *wszystkiem* w tej przeprawie: dawało mi możność spędzać wspaniałe noce na otwartem powietrzu, wygodny kąt do czytania w ciągu dnia, a nadewszystko owo «chez soi», którego, wśród nieustannej na statku krętaniny, tutaj bardziej niż gdziekolwiek odczuwa się potrzebę.

Na bezowocnych śledztwach i indagacyach zeszło mi parę godzin i już zrezygnowany prawie, zasiadłem na pierwszej lepszej ławce wśród innych pasażerów, gdy oto zjawia się przedemną opatrzność w osobie Rafaela, którego misyonarze z jakąś obiecaną, a zapomnianą później książką do mnie przysłali.

Opowiadam mu w kilku słowach moje nieszczęście: Rafaelku, kochanie! ratuj! oto, masz pieniądze, siadaj mi zaraz na łódkę i po całem mieście szukaj, czy takiego samego składanego krzesła nie dostaniesz, spiesz się jeno, dopókąd sklepy nie zamknięte, a pamiętaj, że napiwek będzie dobry».

Murzynowi zaświeciły się oczy, nie kazał sobie zlecenia powtarzać, w minutę wiosłował już do brzegu, a w trzy kwadranse, które mi się zdały wiekiem, bo przygotowania do odjazdu postępowały raźnie, z radością ujrzałem na schodkach okrętowych, najpierw kędzierzawą głowę Rafaela, a tuż za nią wspaniały szezlong, który tryumfująco u nóg moich złożył.

Tak więc, dzięki Rafaelowi w poprzednich dogodnych warunkach dalszą część podróży mogłem odbywać, a wszak pozostawało jej do Odesy blisko 3 tygodnie jeszcze, większa zaś połowa tego czasu zejść miała jednostajnie—oprócz bowiem Adenu i Port Saidu, dłuższych przystanków na widoku już nie było.

Nazajutrz zatrzymaliśmy się wprawdzie w dwóch portach: Tanga — niemieckim i Mombasa—angielskim. Ten ostatni należał poprzednio do Portugalczyków, po których widać tu jeszcze piękną fortecę z końca XV-go wieku. Stanąwszy na kotwicy bardzo krótką chwilę, zabraliśmy tylko pocztę, kilku pasażerów i bez dłuższego zatrzymywania się w obu tych miejscowościach, popłynęliśmy w dalszą drogę.

Przystanek w Mombasa mile wszakże zaznaczył się w mej podróży, gdyż między nowymi pasażerami przybył mi pierwszy przyjemny towarzysz dotąd spotkany. Zauważyłem go już dobrze, gdy się dobywał na statek. Ocean był silnie bardzo wzburzony i nie lada zręczności było potrzeba, aby uchwycić sposobną chwilę, gdy szalupa pasażerska i statek na jednym znajdowały się poziomie—i wskoczyć na schodki, nim fala znowu ich nie podniosła w górę, na wysokość dwóch pięter. W takiej właśnie chwili ujrzałem p. P., jak w mgnieniu oka uchwyciwszy barycrę, zawisł w powietrzu i mimo gwałtownego kołysania, zręcznie bardzo na statek się wdrapał. Zaznajomiliśmy się wkrótce. Z powierzchowności wziąłem go zaraz za Francuza i pomyliłem się tylko w połowie, gdyż

p. P. jechał prosto z wysp Seyszelskich, gdzie posiada plantacye wanilii i jak wszyscy mieszkańcy tamtejsi, choć poddany angielski, z pochodzenia i obyczajów jest Francuzem i za takiego chce być uważanym. Dużo naczytawszy się i nasłuchawszy poprzednio o piękności i bogatej naturze wysp Seyszelskich miałem nadzieję więcej jeszcze zajmujących szczegółów od p. P. zdobyć i w tym celu zawiązałem z nim pogawędkę.

Do rozmowy nie zakreślałem zbyt szerokiego programu; przeszkadzało temu w mem pojęciu samo pochodzenie p. P. z jakichś drobnych wysepek, rzuconych gdzieś w przestworzu oceanu. Okazało się, żem był w błędzie. Ze specyalnego przedmiotu mego zainteresowania, rozmowa zeszła na ogólniejsze tory i z coraz to większem zdziwieniem zacząłem spostrzegać, że mam do czynienia z człowiekiem wszechstronnie wykształconym. Mówimy o naturze, widzę, że studyował nauki przyrodnicze z zamiłowaniem i daje mi najdrobiazgowsze szczegóły o faunie i florze Seyszelskiej — przechodzimy na historyę Afryki — jest równie dobrze poinformowanym. Co chwila zresztą, czekają mnie nowe niespodzianki: mówimy o literaturze, sztuce, o wynalazkach najnowszych—we wszystkich gałęziach, okazuje zasób wiadomości niepospolity, a zdziwienie moje dosięga szczytu, gdy młody Seyszelczyk cytuje mi z całą swobodą daty i fakta z historyi polskiej!

—Gdzież pan kończyłeś studya? — pytam zaciekawiony,—chyba w Europie?

— Jadę tam po raz pierwszy — odpowiada P., — nauki zaś, t. j. collegium, skończyłem w Port Louis na wyspie Maurycyusza. Czytam co prawda bardzo dużo, bo i cóż pan chcesz, żyjąc w takim zapadłym kącie, jak nasz maleńki archipelag jest to jedyny ratunek od zupełnego zdziczenia. Pojmuje pan z jakiem zainteresowaniem oczekuję teraz przyjazdu do Europy, choć nie długo będę mógł tam zabawić, wanilja rychłego powrotu się domaga.

Nareszcie więc znalazłem możliwe towarzystwo, do tego znalazłem je bardzo w porę, gdyż podróż jednostajnie ciągnąć się zaczęła. Dnie schodziły spokojnie i cicho, bez wydarzeń żadnych. Pomimo to, czas jakoś się nie dłużył. Kto tylko posiada prawdziwe zamiłowanie natury, i bezgranicznych przestrzeni, ten nigdy na morzu się nie nudzi, mając zaś jaki taki zapas książek, trochę towarzystwa, trochę zmysłu obserwacyjnego, parę tygodni, a choćby nawet miesięcy, spędzić może na statku z przyjemnością. Zresztą po częstych przystankach w pierwszej połowie podróży zmęczony byłem bardzo — i rad wypocząć wśród uregulowanego ściśle trybu życia okrętowego. Z nadejściem wieczora udawaliśmy się zwykle z P. na sam przód statku i tam zdala od gwaru, toczyliśmy długie pogawędy. Ocean przez całe trwanie tej przeprawy dziwnie był cichy i gładki. Po drugiej stronie równika, ryby latające zaczęły w wielkiej liczbie się pokazywać, co chwila zrywając się w pobliżu «Bundesrath'a» i długą srebrzystą strugą lot swój tuż ponad falą znacząc.

Gromady delfinów nieustannie nam towarzyszyły, ukazując się ponad wodą, niknąc na chwilę — i znowu w pociesznych prześcigając się skokach. Dzięki niezwykłej przezroczystości wody można je było najlepiej obserwować na przodzie statku, wieczorem, gdy zebrane w gromadkę igrały z falą, goniąc się, przewracając na wznak tuż przed samym dziobem Bundesrath'a, bynajmniej jego potężną masą i szumem fali nie strwożone.

Nakoniec 6-go dnia po opuszczeniu Zanzibaru zawidniały wieczorem majestatyczne, strome ściany przylądka Guardafu, a 7-go, z rana zawinęliśmy do Adenu. Tutaj należało zwiedzić słynne cysterny i zaopatrzyć się w owoce, na przeprawę przez Czerwone morze, którą mi wszyscy, jako bardzo przykrą zapowiadają. Już w Adenie samym doznaje się przedsmaku tej przeprawy; jest to zresztą jeden z najgorętszych punktów na świecie. Temperatura dochodzi 50° Cels. w cieniu, a 40° jest rzeczą zwykłą. Gdzie okiem sięgnąć — Arabia deserta: tutaj w postaci ogromnych nagich skał—naturalnej twierdzy, która w ręku Anglików, nieledwie tę samą, co Gibraltar ma doniosłość, tam znów dalej, na widnokręgu, rozesłała się pustynia piaszczysta, jakby drugi ocean.

O godzinę drogi powozem od miasteczka portowego, zamieszkałego przeważnie przez Greków, Włochów i Arabów, w lejkowatej, jakby krater wygasłego wulkanu, rozpadlinie leżą cysterny, piękne dzieło rąk ludzkich. Do nich to w sezonie deszczów gromadzi się woda z gór

Yemeńskich, choć nie rzadko zdarza się także, że pustkami stoją, a okoliczni mieszkańcy zadawalniać się muszą dystylowaną wodą morską.

Z powrotem przebiegam jeszcze kilkakrotnie miasto arabskie dość szablonowo się przedstawiające. Ospałe wielbłądy rozwożą po domach beczki z wodą, czasem przemknie się beduin na swoim smukłym «mehari» czyli wierzchowym, szlachetniejszej rasy wielbłądzie. Duszno mu wśród ciasnych ulic i zgiełku ludzkiego i rad powraca w pustynię. Skwar staje się wprost niemożliwym; głowę mam w ogniu, spieszę więc do przystani, bo porażenie słoneczne to sprawa jednej chwili. W porcie opada mnie jeszcze cała zgraja Somalisów przybyłych z drugiego wybrzeża z przeróżnym towarem. Uwalniam się od natrętów, wskakuję do łodzi i jadę na «Bundesrath».

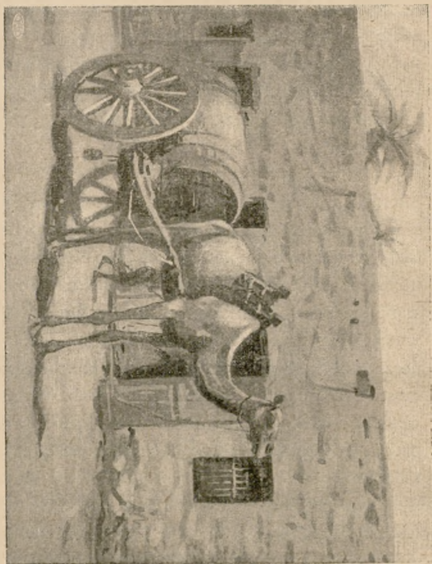
Odpływamy wieczorem. Między czarnymi pasażerami trzeciej klasy widzę kilku nowo przybyłych Nubijczyków, a także śliczne czternastoletnie dziewczę, o rysach tak regularnych, tak proporcyonalnych i pięknych kształtach, że nawet czarna jak heban skóra i wełniaste, krótkie włosy na małej główce, wdzięcznego wrażenia nie psują. Dziewczę zaledwie z dziecinnych lat wyszłe ma jednak towarzysza, *quasi* małżonka w osobie portugalskiego kreola o złej, kościstej twarzy i zwiędłych rysach. Próbowałem kilkakrotnie zdjąć błyskawiczną fotografię czarnej piękności ale mi się to nie udaje: to poza nie dobra, to znowu światło niedostateczne, albo tłum przeszkadza. Wreszcie «en desespoir de cause»

zwracam się wprost do owego kreola, tłumacząc mu o co mi chodzi i prosząc oficyalnie o pozwolenie zdjęcia portretu; spotyka mnie wszakże bardzo kwaśna odmowa, oraz jadowite, nieufności pełne spojrzenie. Maleńka musiała uchwycić przedmiot rozmowy, bo uśmiecha się zabawnie, wielkim gazellim okiem wodzi po aparacie i nie zdaje się podzielać do niego uprzedzeń swego pana i władzcy. Udało mi się później zdjąć ją ukradkiem, ale klisza wyszła nieszczególnie i pamięć sama wierniej zachowała wdzięczny, iście afrykański obrazek.

Ledwie przepłynęliśmy cieśninę Bab-el Mandeb, zacząłem pojmować, że to, com słyszał o przeprawie przez morze Czerwone, bynajmniej przesadzonem nie jest. Dobrze było Izraelitom maszerować między dwiema ścianami rozstąpionych fal—ale nam nieszczęśliwym, wystawionym na prostopadłe niemal promienie słoneczne, od których nawet płócienne pokrycie pomostu nie dawało schronienia, pozbawionym wszelkiego chłodzącego powiewu, pięciodniowa podróż zdawała się jedną długą męczarnią. Był to koniec września, pora odlotu jaskółek z Europy i nieszczęśliwe ptaszyny chmarami zapadały na statek, aby znaleźć chwilę wytchnienia w dalekiej drodze swojej. Wybite z sił, kręciły się wśród tłumu bez żadnej obawy, trzepotały skrzydełkami, jakby pomocy ludzkiej wzywając, nakoniec martwe padały na pokład.

Poprzednio, noce przynajmniej dawały trochę wypoczynku po dziennym upale — ale tutaj wśród martwej ciszy i dusznej nad wszelkie po-

jęcie atmosfery, w której czuć było palący wiatr z pustyni niesiony, noce niemal gorsze były od dni. Odziany w leciutki flanelowy garnitur t. zw. «pyjama», jakiego w koloniach do snu się używa, bez przykrycia żadnego, próżno męczyłem



Ulica w Adenie.

się i przewracałem na mym szezlongu — noce spędzałem bezsenne.

Zaznałem upałów w Natalu, gdzie przecież ananasy jak chwast na polu sobie rosną i dojrzewają; znosiłem je nawet doskonale, lepiej od

starych kolonistów, odbywając dalekie wycieczki w godzinach, w których wszyscy po domach się zamykali, ale dopiero tutaj poznałem, jak dalece upał przygnębiająco oddziałać może na człowieka: ustaje wszelka ochota do życia, wszelkie zajęcie względem otoczenia, rachuje się tylko dnie i godziny i rozpaczliwie wygląda chwili, która uwolnienie z owego piekła przyniesie.

Wszystkim wyrwało się z piersi głębokie westchnienie ulgi, gdy nakoniec piątego dnia wieczorem ukazały się w oddali latarnie morskie Suezu i wkrótce, po dwugodzinnym tamże przystanku, wjechaliśmy w kanał. Co prawda inne zupełnie wyrobiłem sobie pojęcie o tem arcydziele inżynierskiej sztuki; wyobrażałem go sobie znacznie szerszym i wspanialszym. A jednak wieleż to wązkie koryto, w którem dwa większych rozmiarów statki nawet się dogodnie minąć nie mogą i z drogi ustępować sobie muszą—wieleż ono milionów pochłonęło, wieleż tysięcy rąk ludzkich nad niem przez lat dziesiątki pracowało! Od 60 do 100 metrów szeroki kanał, od morza do morza ciągnie się na przestrzeni 164 kilometrów, przeprawa trwa długo, około 15 godzin, z powodu ostrożnej jazdy i częstych przystanków, gdy naprzeciw inny statek się ukaże; wtedy bowiem jeden lub drugi, stosownie do kolei ustępować musi z drogi. Majtkowie zeskakują do szalup i za pomocą lin przyciągają olbrzyma do żelaznych — *ad hoc* na wybrzeżu stojących słupów; co drugie więc spotkanie ta sama historya się powtarza. Specyalnie, podczas postoju w Suezie, zainstalowane potężne la-

tarnie elektryczne, rzucają snopy białego światła, daleko oświecając kanał i zabezpieczając od nieszczęśliwych wypadków. Przeprawa to dla statków kosztowna niezmiernie. «Cherson» ochotniczej floty ruskiej, którym z Port-Saidu do Odessy płynąłem, przy 10,000 tonnach objętości, zapłacił za prawo przejazdu ni mniej ni więcej tylko 25,000 rubli! Statków przechodzi przez kanał 10 do 15 dziennie, nie trudno więc pojąć, że akcye Suezkie tak świetnie stoją — i serce krajać się musi kapitalistom francuskim na myśl o tych bogactwach, któremi tak lekkomyślnie pozwolili owładnąć Anglikom.

Po całonocnej przeprawie o 8-ej z rana jesteśmy w Port-Saidzie. Bagaż mam już w pogotowiu i sam gotów jestem do wylądowania, tutaj bowiem przychodzi mi się rozstać z «Bundesrath'em», który na Neapol wprost do Hamburga dąży. Wkrótce podjeżdżają łodzie, przedstawiają się z usługami swemi drogmeni hotelowi, grecy po większej części. Żegnam się z p. P. i kilku innymi towarzyszami podróży, kapitanem, oficerami, młodym doktorkiem i *«via!»* na te bulwary, które mają już być ostatnim moim etapem na drodze do Europy.

Ledwie wylądowałem na brzeg, odżyły wszystkie moje wspomnienia Wschodu, na którym poprzednio lat parę spędziłem. Od chmary Arabów, którzy usiłują bagaż mój rozerwać między siebie, kijem i wymyślaniem opędzać się trzeba: *«emszi! el mahar alik!»* «idź precz, niech cię fala morska pochłonie!» przypomina mi się z mej algierskiej arabszczyzny i poparte wymow-

nym giestem nie przechodzi bez wrażenia! Z biedą dostaję się wreszcie do hotelu.

Port-Said jest miastem kosmopolitycznem w całem znaczeniu tego słowa, wszakże żywioł, a zwłaszcza język francuski przeważnie tu panuje. W zewnętrznej postaci miasta i ruchu ulicznym, uderza dziwna mięszanina lokalnej, wschodniej barwy z wyrafinowaną europejską cywilizacyą. Bogate hotele, kawiarnie, teatry i sale koncertowe, piękne wystawy magazynów i eleganckie stroje na ulicach ścierają się co chwila rażącym kontrastem z czysto wschodnią dekoracyą. Całość, z gorączkowym ruchem, handlem ulicznym — i ciągle napływającą niestałą ludnością robi wrażenie jakiegoś ogromnego nieustającego jarmarku.

Ale nie mam zamiaru ani ochoty dłużej nad Port-Saidem się zatrzymywać; zbyt blizko jestem celu mej podróży i myśleć potrafię tylko o pozostałej drodze, która mnie od Europy dzieli. Spieszę więc do agencyi ruskich statków, by się dowiedzieć kiedy najbliższy do Odessy odpływa. Właśnie «Cherson», Ochotniczej Floty powraca nazajutrz wieczorem z dalekiego wschodu—i następnego dnia wyrusza wprost do Odessy bez żadnych przystanków, co oczywiście bardzo mnie układa. Uważam więc sprawę mego wyjazdu—i wybór statku za zdecydowany, a w oczekiwaniu na jego przybycie, udaję się do konsulatu ruskiego, w którym miałem pewne kwestye paszportowe do załatwienia. Sprawa w tem mianowicie leżała, że paszport stary odesłałem był do kraju dla odnowienia, a zanim

przysłano mi nowy, wypadło mi jechać z powrotem. Mając inne dowody i dokumenty ze sobą, sądziłem, że trudności w konsulacie nie napotkam wielkich, i że sprawa cała da się ułożyć. Niestety, inaczej być miało.

Zaraz na wstępie konsul oświadczył mi, że bez paszportu w żaden sposób na ruskim statku do Odessy jechać nie mogę, że nadto on w trudności tej nie ma prawa mi dopomódz, że tylko konsul generalny w Aleksandryi w podobnych wypadkach decyduje, do niego też polecił mi się udać. Jechać do Aleksandryi, to znaczy stracić sposobność, jaką mi «Cherson» nastręczał i całe dwa tygodnie czekać na inną w Port-Saidzie; miła doprawdy perspektywa, gdy się jest o 5 dni zaledwie od celu podróży! Postanawiam jeszcze spróbować szczęścia u kapitana statku i doczekawszy przyjazdu «Chersona» późnym wieczorem, udaję się na jego pokład. Kapitan osobiście nie ma nic przeciw zabraniu mnie do Odessy, ale upoważnienie konsula nieodzowne — radzi więc ponownie udać się do niego. Idę nazajutrz rano: znowu formalna odmowa! Co tu robic? «Cherson» odpływa w południe, ale tegoż dnia wieczorem francuski statek Messageries Maritimes «Eclair» wyjeżdża do Marsylii. Szybko decyduję się: zamiast do Aleksandryi, pojadę na Marsylią do Paryża i tam w ambasadzie trudność paszportową załatwię. Za chwilę jestem w biurach agencyi i płacę za przejazd.

Zły i mocno zdekoncertowany takiem pokrzyżowaniem planów, ale zrezygnowany już zupełnie, puszczam się na wycieczkę po mieście,

aby zabić te długie godziny, które do odjazdu marsylskiego statku pozostawały i bezcelowo błądzę wśród arabskich dzielnic. Około 12-j zawracam ku hotelowi na śniadanie, gdy oto widzę drogmena konsulatu ruskiego, który z papierem jakimś w ręku pędzi na moje spotkanie, i pokazując kartkę z mojem nazwiskiem, zwiastuje mi, że konsul na wyjazd do Odessy ostatecznie zezwala, ale że chwili czasu nie mam do stracenia bo «Cherson» za pół godziny podnosi kotwicę.

Masz tobie! a to dopiero sytuacya: przejazd do Marsylii zapłacony, bagaż złożony częścią w hotelu, a częścią na komorze — i od tego ostatniego, drogmen hotelowy, który tylko co w przeciwnym poszedł kierunku kwit posiada. Postanawiam jednak bądźcobądź z pozwolenia korzystać, a resztę zdaję na łaskawe losy. Bagaż, jaki miałem w hotelu w jednem mgnieniu oka zniesiony na dół, rachunek zapłacony; trzech arabów wysyłam na miasto w poszukiwaniu za drogmenem i za kwitem na pozostałe rzeczy, sam pędzę do «Messageries», bo 250 franków piechotą nie chodzi i mam nadzieję, że choć połowę tej sumy mi zwrócą, gdy bilet oddam. O zgrozo! biuro zastaję zamknięte na parę godzin południowych, stosownie do miejscowego zwyczaju. Na szczęście przypominam sobie, że poprzedniego dnia widziałem na śniadaniu w jednej z większych restauracyi tego samego właśnie urzędnika, który mi bilet wydawał. Pędzę więc znowu, zastaję go przy stole w licznem towarzystwie i, poprosiwszy przez służącego, w kil-

ku słowach przedstawiam mu sytuacyę. Uprzejmy francuz nie tracąc czasu na dyskusye, rzuca śniadanie i towarzystwo, porywa kapelusz i za chwil parę jesteśmy w agencyi, gdzie wymiana bez żadnych trudności się załatwia a banknoty wracają do mej kieszeni; Francuz tłomaczy, że przepisy towarzystwa właściwie nie obowiązują do zwrotu, ale że okoliczność wyjątkową uwzględnić trzeba etc. etc., zaledwie mam czas uścisnąć mu rękę i podziękować. Anim się spodziewał tak nadzwyczajnej uprzejmości, która ujęła mnie nie tyle jeszcze w samym zwrocie pieniędzy, jak w sposobie traktowania całej sprawy i w pospiechu, który o sytuacyi decydował tutaj.

Dopadłszy z powrotem do hotelu, tragarzów arabskich zastałem czekających w pogotowiu. Teraz już wszystko miało iść, jak z płatka. Nie obeszło się wprawdzie bez kilku potężnych szturchańców, do których pobudził mnie tubalny gwizd «Chersonu», a które pożądany wywarły skutek na bardziej opieszałych Arabach. W parę chwil znalazłem się u przystani, w szalupie i płynąłem do parostatku. Schodki pasażerskie miano już podnosić, i tylko na mnie zdawano się czekać. Oto i drogmen Dymitro z pozostałym bagażem nadjeżdża; jeszcze wysiłek jeden, jeszcze minut parę i nakoniec jestem w kajucie mojej, wśród stosu bezładnie rzuconych kufrów i pakunków, bez tchu, oblany potem ale szczęśliwy nad wszelki wyraz i dumny z tak pomyślnego obrotu rzeczy i postawienia na swojem bez strat żadnych.

Pierwszym odgłosem, jaki mnie wyrwał ze

stanu odrętwienia, w które po okropnem naprężeniu nerwów i sił zapadłem mimowoli, był najpierw potężny gwizd z komina «Chersonu» i zgrzyt łańcuchów zwiastujący, że podnosimy kotwicę, a wślad za nim obił się o moje uszy dźwięk dziwnie miły, dawno nie słyszany — dźwięk mowy polskiej:

— A pana skąd Bóg prowadzi?

Podniosłem oczy niedowierzająco; przedemną stał wysoki, młody mężczyzna o sympatycznej, poczciwie uśmiechniętej twarzy i zdawał się bawić mojem zdziwieniem.

«Ja—nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej,—powracam z Abisynii. Dwa lata się tam wysiedziałem—niech Bóg broni co za kraj, proszę pana! — A pan z daleka? Niech pana nie dziwi, że tak zaraz po polsku do pana przemówiłem—słyszałem, jak pan w ostatniej chwili depeszę drogmenowi dyktował i z niej rodaka łatwo się było domyśleć».

Tak więc, w przededniu powrotu, znalazłem się w możności przypomnienia dźwięków rodzinnej mowy i nadmieniać nie potrzebuję, z jaką rozkoszą korzystałem z niej. Z rodakami za granicą doświadczenie nauczyło mnie wielkiej ostróżności, ale w towarzystwie p. W. nie doznałem żadnego zawodu. Nadto rozmowa z nim zajmująca, i pełna ciekawych szczegółów o Abisynii i dworze menelika, który z blizka miał sposobność obserwować.

Cztery dni drogi dzieliły mnie jeszcze od Odessy, lecz te szybko zeszły. Jedna za drugą przesuwały się wyspy Archipelagu, wślad za

niemi ukazały się dardanelskie wybrzeża gęsto usiane miasteczkami, wsiami i całym zastępem groźnych fortów. Trzeciego dnia późnym wieczorem przystanęliśmy na pół godziny w Konstantynopolu, u wejścia do Złotego Rogu. Noc była czarna, bez księżyca ni gwiazd i napróżnom próbował odróżnić choć ogólne zarysy wspaniałej panoramy, którą przed pięcioma laty z tego samego miejsca oglądałem. Tylko od pałacu cesarskiego Dolma - Bagtche biła potężna łuna, oświecając przyległe ogrody i odbijając się w Bosforze. Właśnie cesarz Wilchelm II-gi przybył do sułtana w gościnę, która skarb ottomański 15 milionów miała kosztować. Iluminacya była więc rzęsista!

Od Konstantynopola do Odessy, to już skok jeden, chwila jedna tylko w porównaniu z pięciotygodniową podróżą, jaką miałem za sobą. Wjechaliśmy do portu tak wcześnie, że z wylądowaniem parę godzin czekać trzeba było, aż do przybycia urzędników paszportowych i celnych. Dopiero około południa na miasto się wydostałem. Kilka dni poświęciłem na załatwienie różnych formalności, aż nadeszła wreszcie niecierpliwie oczekiwana chwila: znalazłem się w pociągu, na drodze do Warszawy.

I w miarę tego jak znikała przestrzeń, jak szczegół po szczególe budził w duszy dawno zamierzchłe wspomnienia i targał wszystkiemi jej strunami: gdy zaczernił się pierwszy bór sosnowy, gdy zapach świeżo zoranej roli pierwszem owionął tchnieniem; gdy jeden i drugi przesunął się przed oczami zaciszny dworek wiejski z dro-

gą topolami sadzoną i gdy na tle tem swojskiem, rodzimem zamajaczyło ukochanych parę postaci—wszystkie wrażenia, wszystkie obrazy wspaniałe tak chciwie pod obcem niebem zbierane jęły rozpraszać się i niknąć powoli niby odległe senne marzenia. Na duszy tylko robiło się coraz cieplej, coraz uroczyściej, i do ust namiętny cisnął się okrzyk:

«Witaj mi kraju ukochany!»

KONIEC

